Nr. 239. — **Rocznik XXI.** **Wtorek, 18 października 1892.**

Kuryer Poznański
wychodzi codziennie z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych.

Redakcya:
przy ulicy św. Marcina nr. 16.

Administracya i Ekspedycya:
przy ulicy św. Marcina nr. 16 w Drukarni Kuryera Poznańskiego.

KURYER POZNAŃSKI.

Przedpłata kwartalna
wynosi w Poznaniu marek 4, na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i w Austryi marek 5 (zob. Zeitungs-Preisliste p. 1892 Abtheilung II. s. No. 48.) w innych krajach: cena poznańska z dołączeniem przesyłki.

Cena ogłoszeń
wynosi 15 fenygów od drobnego siedmiołamowego wiersza. — Reklamy po 30 fen. od wiersza. — Przekład na język polski bezpłatnie.

AJENCYE KURYERA POZNANSKIEGO:
Rajchmann i Frendler, w Warszawie ulica Senatorska 22. — R. Mosse, w Berlinie, Frankfurcie n. M., Hamburgu, Lipsku, Monachium, Norymberdze, Pradze, Strassburgu, Stuttgardzie, Wiedniu, Wrocławiu, Zurychu. — Haasenstein & Vogler w Bazylei. Dreźnie, Gdańsku, Hali n. S., Hanowerze, Genewie, Kamienicy (Chemnitz), Kolonii, Lubece, Norymberdze. — Havas Laffite & Comp. w Paryżu place de la Bourse 8.

Poznań, 17 października.

Z bieżącéj chwili.

(Wybory prezydenta w Stanach Zjednoczonych północnéj Ameryki. — Dziwne zjawisko. — Przebieg rewolucyi w Wenezueli.)

Mniéj więcéj za trzy tygodnie odbędą się w północnéj Ameryce wybory prezydenta, a dotychczas doleciało nas tylko słabe echo walki wyborczéj. Jest to zupełnie wyjątkowem zjawiskiem, albowiem wybory prezydenta w Stanach Zjednoczonych były zawsze walką w amerykańskiem słowa tego znaczeniu, walką, w któréj nie gardzono żadnym środkiem i w któréj wielką odgrywały rolę gwałty i oszczerstwa. Częstokroć chodziło bardziéj o nieuczciwe zohydzenie przeciwnika, niźli o sławienie przymiotów własnego przyjaciela. Kwestyą było po części, nie kto jest lepszym, tylko kto jest gorszym z obydwóch kandydatów. Do Europy zaś dolatywał dziki wrzask walki, telegram donosił o krwawych starciach, wyliczał rannych i zabitych. Wyborów prezydenta obawiał się zawsze amerykański świat handlowy. Wszędzie zalegała téż anormalna cisza, gdyż nikt w obec niepewności wyniku walki wyborczéj i z nim łączących się rozmaitych zmian prawodawczych, nie odważał się rozpoczynać większych przedsiębiorstw. W czasie pomiędzy ustawieniem kandydatów a wyborami, mniéj więcéj przez pięć miesięcy, istniała w Stanach Zjednoczonych tylko jedna sprawa: wybory. Ponieważ jenerał Grant był garbarzem, przeto tysiące zwolenników jego urządzało pochody z pochodniami w fartuchach skórzanych. Horace Greely nosił znowu biały kapelusz, więc wszyscy stronnicy poszli za jego przykładem, tak, iż fabryki nie mogły dostarczyć białych kapeluszy. Przeciwnika nieszczędzono pod żadnym względem, zaglądano do jego stósunków rodzinnych, zohydzano nietylko kandydata, ale także jego małżonkę, ba, nawet babci nie dano spokoju w grobie. Równocześnie urządzano meetingi pod gołem niebem, w których brało udział tysiące wyborców, zwoływano olbrzymie zgromadzenia, na których przemawiało kilkunastu mówców w dziesięciu rozmaitych językach. Słowem, wszędzie było gwarno i ludno, wszędzie panował zapał do walki, choćby na boksy i noże. W tym roku nie ma ani śladu tego wszystkiego. Spokojnie i normalnie płynie życie, jak gdyby chodziło o wybór burmistrza w małem miasteczku.

A jednakże sądzićby należało, że właśnie w tym roku będzie walka namiętniejsza, niż dawniéj. Jeśli bowiem republikanie posiadają od trzydziestu lat władzę w swych rękach, z małą przerwą w skutek wyboru Clevelanda, to naturalnym porządkiem rzeczy tęsknota demokratów za suto zastawionym stołem, powinna się była przez tak długi przeciąg czasu spotęgować, zwłaszcza, że już niegdyś do stołu tego zasiadali. Nadto, przy tegorocznych wyborach chodzi po raz pierwszy o przedmiotową sprawę, o ważne reformy w dziedzinie celnéj. W miejsce czczych frazesów można było tym razem postawić do boju ściśle określone zasady, mimo to, nic nie słychać o walce w stylu amerykańskim.

Daremnie szukalibyśmy jasnego wytłomaczenia tego, dla Amerykanów nawet niepojętego zjawiska. Cały niewątpliwie szereg czynników wpływa na to położenie. Wystawa w Chicago zajęła wprawdzie pewną część sił agitacyjnych, ale łatwoby je zastąpić można innemi, gdyby obydwom stronnictwom nie brakło zapału.

Jedna z republik południowo-amerykańskich, Wenezuela przebyła znowu rewolucyą. Prezydent tego kraju, Palacio, którego władza kończyła się, powziął nieszczęśliwą myśl przeprowadzenia rewizyi konstytucyi w tym duchu, aby mógł być ponownie powołany na najwyższą godność rzeczypospolitéj. Gdy jednak zgromadzenie prawodawcze oparło się temu zamiarowi, urządził, zwykły w tamtych stronach zamach stanu, rozpędzając deputowanych, lub osadzając ich w więzieniach miasta Caracas. Ten krok wywołał rewolucyą, na któréj czele stanął generał Crespo, człowiek młody, ambitny, posiadający licznych stronników w najniższych warstwach ludności wenezuelskiéj. Crespo stanął na czele armii, naprędzce zorganizowanéj i prowadził tak szczęśliwie kampanią, że po upływie trzech miesięcy Palacio był zmuszony złożyć prezydenturę i uciekać z kraju. Według konstytucyi, jego legalnym następcą był wiceprezydent rzeczypospolitéj, dr. Villegas, który też natychmiast objął władze. Crespo jednak był zdania, że on sam powinien objąć rządy, jako zwycięzca i tryumfator i prowadził daléj wojnę, tym razem już nie w obronie konstytucyi; ale przeciwko niéj. Villegas zebrał z wielkim trudem zgromadzenie prawodawcze, które miało wybrać prezydenta; pokazało się jednak, że kandydatami do téj godności są wszyscy deputowani, tak, że kilkakrotne głosowania nie doprowadziły do żadnego wyniku. Nie trzeba dodawać, że wśród tych zamieszek finanse rzeczypospolitéj, jéj handel, a nawet rólnictwo, srogo ucierpiały. Wreszcie, po rozlicznych przejściach, generał Crespo zdobył szturmem stolicę kraju Caracas, a dr. Villegas i jego przyjaciele schronili się na Martynikę, pod opiekę władz francuzkich. Na pewien czas zapanuje zatem spokój w Wenezueli, dopóki pożoga rewolucyi nie zburzy tego spokoju i nie zapełni świata nowem echem wojennem.

Telegramy.

Paryż, 15 października. Minister finansów, Rouvier, zaprojektował na dzisiejszém posiedzeniu komisyi budżetowéj celem pokrycia 6 milionów deficytu w budżecie, zmienionym przez komisyą, podatek 10 franków od welicypedów, coby przyniosło 1 i pół miliona, dalej skreślenie wydatku 4 i pół miliona, który wynika z przyjęcia kas szkólnych do budżetu.

Carmaux, 16 października. Wczoraj odbyło się ponownie zebranie strejkujących górników, na którém wygłoszono kilka rewolucyjnych mów i powzięto uchwałę, wzywającą rząd po raz ostatni, aby przystąpił do obrony ogólnych wyborów i republiki.

Carmaux, 16 października. Mer Calvignac oświadczył o ustąpieniu deputowanego markiza Solanges: To złożenie mandatu ma tylko na celu zbałamucenie opinii publicznéj i odwiedzenie jéj od właściwego politycznego pola, na którym się bezrobocie musi utrzymać, aby módz bronić przed Izbą ogólne prawo wyboru.

Medyolan, 15 października. Król Humbert i królowa Małgorzata przybyli tu w towarzystwie księcia Aosty i hrabiego Turynu i złożyli półgodzinną wizytę bawiącéj tu cesarzowéj Fryderykowéj.

Londyn, 16 października. Biuro Reutera donosi Rangoon, że w skutek powstania chińskich szczepów w górnéj Birmie jest położenie tamże załogującego wojska angielskiego i indyjskiego bardzo krytyczne. Pozycyą w Tiddim, składającą się z jednego angielskiego oficera i 100 żołnierzy, obstąpili powstańcy i poniszczyli komunikacyą telegraficzną w okolicy. Także fort White oblegają powstańcy.

Windsor, 16 października. Sąd wojenny skazał szeregowca Marschalla na 18 miesięcy więzienia i na wydalenie z pułku. Był on przywódzcą buntu wojskowego z dnia 24 września.

Petersburg, 16 października. Jesienna sesya rady państwa rozpoczęła się w sobotę.

Sevilla, 16 października. Młodziutki król hiszpański zachorował dość niebezpiecznie. Wedle ostatniego biuletynu ma się jednak znacznie lepiéj.

Madryt, 15 października. Kongres wolnomyślnych, otwarty tu dnia 12 bm., został policyjnie zamknięty. Delegat prefekta policyi oświadczył, że rozwiązuje kongres z powodu wycieczek przeciw Kościołowi katolickiemu. Uczestnicy kongresu uchwalili natychmiast protest.

Como, 15 października. Wskutek silnéj ulewy wystąpiło jezioro Como i zalało niższe części miasta.

Genua, 16 października. Powódź wyrządziła tu znaczne szkody. Jest obawa, że kilku ludzi utraciło życie.

Charlottenburg, 16 października. Malarz bitw Jerzy Bleibtreu, członek akademii sztuk pięknych, umarł dzisiaj w południe.

Christiania, 15 października. Malarz historyczny Piotr Mikołaj Arbo umarł wczoraj.

Zofia, 15 października. Wczorajsze trzęsienie ziemi dało się uczuć także w Widyniu, Sistowie, Plewnie, Sliwnie i Silistryi. Jeden stary dom zawalił się, a kilka innych budynków zostało uszkodzonych. Nikt nie stracił życia.

Peszt, 16 października. Na dzisiejszém posiedzeniu komisyi spraw zewnętrznych delegacyi węgierskiéj odczytał referent Falk swoje sprawozdanie. Omawiał on mowę hr. Kalnokyego i stwierdził z zadowoleniem, że polityka zagraniczna nie zmieniła się w głównych swych kierunkach. Sprawozdanie przyjęto jednogłośnie.

---

* ***Czytelnie Ludowe*** przypominają się o téj porze uwadze i opiece swych członków zacnych i przyjaciół. Nadchodzi pora zimowa, w któréj lud najwięcéj czyta i łaknie pożywienia duchowego. Jak słyszymy, zarząd Towarzystwa zarzucony jest prośbami o nowe książki. Niestety w bardzo nieodpowiedniéj mierze może on zadosyć uczynić żądaniom, bo jeszcze zeszłoroczne zobowiązania ledwo w połowie pokryte, zatem nie można myśleć o nowych zakupach książek.

Cóż więc począć w tak smutnem położeniu rzeczy? Jedynie odezwać się możemy do obowiązkowości i ofiarności wypróbowanéj członków, przyjaciół, delegatów Towarzystwa, żeby wszystkie siły wytężyli na zebranie odpowiednich funduszów, bez których zarząd i towarzystwo nic zdziałać nie mogą.

Ciężkie są czasy, to pewna, wydatki mnogie i wielkie, ale na cel tak szlachetny zawsze się jeszcze fundusze znaleść powinny.

Wierzymy też mocno, że się znajdą, za sprawą ludzi dobréj woli, których nam nigdy nie zabraknie.

---

* ***Goniec*** pisze o „Uwagach Domarata“ nad książką Spasowicza o Wielopolskim, między innemi, co następuje:

„Tylko tacy co zdala od ruchu narodowego się trzymali, sami osobistéj szkody ani téż i straty w rodzinie nie ponieśli, z stępioném uczuciem polskiem, są zdolni do odświeżania ran, rozbierania ze sceptycyzmem smutnych wypadków i wydawania surowego sądu na tych, którzy wszystko, co mieli najdroższego, na ołtarzu Ojczyzny złożyli.“

Ze głośny mędrzec „Gońca“ dotąd dla sprawy narodowéj żadnych nie ponosił ofiar, a różne z niej ciągnął korzyści, to powszechnie wiadomo. Myli się jednak „Goniec“ grubo, jeżeli tę samą „bierność„ ofiarną przypisuje przeciwnikom, których przeszłości nie zna. Możemy zapewnić, że osoba, którą „Goniec“ wedle instrukcyi ze źródeł urzędowych roku 1863, uważa za dotkniętą obojętnością „polskiego serca“, porówno z tysiącami ofiar bezrozumnéj polityki tegoż roku „cierpiała za Ojczyznę“ w więzieniach Krakowa, Strzelna, Inowrocławia i Poznania, a w żałobnéj kronice rodzinnéj opłakuje straty ukochanych osób, które dobrą wolę swą przypieczętowały krwią za wiarę w mądrość polityków r. 1863. Tego zapewnie mędrzec Gończy o sobie powiedzieć nie może, gdyż nawet w sprawie prasowéj nie „cierpiał za Ojczyznę“ — osobiście. Cierpieć musieli za niego inni. Bardzo to jest mądrze — ale o „sercu polskiém“ — źle świadczy.

---

* ***Z Rzymu*** piszą do „Koelnische Volks-Zeitung“, że O. Brandes, znakomity Jezuita austryacki i współpracownik głośnego czapisma „Stimmen aus Maria Laach“, wyda niebawem broszurę o polityce Papieża względem Francyi. „Koelnische Ztg“ dodaje: „Ojciec św. przejrzał korektę téj broszury. Główną jéj tezą jest, że godzi się uznać, bez zastrzeżenia i *pro tempore*, Rzeczpospolitą.“

Gdy ta broszura się ukaże, nie omieszkamy zdać z niéj sprawy naszym czytelnikom; tymczasem stwierdzamy, że najznakomitsze osobistości w świecie katolickim podzielają polityczne idee Papieża. Jest to okoliczność wielkiego znaczenia w obec uporczywéj opozycyi z pewnéj strony.

Przypominamy na tém miejscu, że we Francyi znany przywódzca katolicki Mackau uznał także Rzeczpospolitą. Słusznie powiedziano gdzieś, że stronnictwa monarchiczne we Francyi mają jeszcze dowódzców, ale brak im żołnierza.

Uwagi na czasie.

XXIII.

Wszyscy uczestnicy, wracający z „akademii ludowéj“ w Gladbach, zachwyceni są tem, co słyszeli i co widzieli. Wykłady były pouczające, owiane prawdziwie chrześciańskim duchem, a w zdumienie wprawiały liczne instytucye dobra ogólnego, za sprawą duchownych i świeckich stowarzyszeń, albo też mienniejszych jednostek pourządzane na miejscu od dawna. Nie można było wybrać pod tym względem stósowniejszego miejsca na kursa socyalne.

Uczestnicy nasi, wobec takich danych, pod pewnym względem uczuli całą naszą niemoc społeczną, porównując stósunki nasze z tamtejszemi. Tam bogactwo przemysłowe i handlowe sili się, żeby współzawodniczyć w dziełach miłosierdzia i społecznéj pomocy. U nas oczywiście nie ma takich bogactw, więc i ofiarność musi być naturalnym biegiem rzeczy mniejszą, ale dobréj woli i u nas nic nie staje na przeszkodzie, żeby robiła to, co w naszych stósunkach jest możebne.

Nie zawsze jednak dobra wola u nas znajduje odpowiedniego bodźca w obowiązkowości. Nie tak dawne to czasy, jak najwyższa głowa Kościoła w wiekopomnéj encyklice socyalnéj wezwała cały świat katolicki do energicznéj pracy przeciwko zakusom przewrotu, mianowicie też na polu stowarzyszeń.

Nasz Najprzewielebniejszy Arcypasterz powołał następnie całe swe duchowieństwo dyecezyalne do zakładania mianowicie Towarzystw Czeladzi katolickiéj. Wiele ruchliwych umysłów zajęło się też gorąco tą sprawą; potrzeba jednak teraz, żeby ona wystąpiła już ze studyum przedwstępnych przygotowań.

Wszyscy, jak sądzimy, bez wyjątku, uznajemy zbawienność zamiarów wysokich władz duchownych, ale nie wszyscy jeszcze sobie uprzytomnili, że bez osobistych zachodów i ofiar z czasu i swobód, na tem polu nic zrobić nie można. Wielka to jest zaiste ofiara, żeby po trudach niedzieli, duszpasterze i ich zastępcy, zajęli się jeszcze na świeckiéj arenie oświatą i społecznem podnoszeniem swych owieczek. Ale czasy są tak poważne, że ofiary te ponieść trzeba koniecznie, tak jak je ponoszą nasi współwyznawcy na zachodzie. To też stworzyli oni cuda, a słusznie rzec można, że ruch socyalny katolicki a zarazem antisocyalistyczny w Niemczech przoduje całemu światu cywilizowanemu.

Mieliżbyśmy my Polacy, uchodzący tak chętnie i pod wielu względami zasłużenie, za naród rycerski i ofiarny, pozostać całkiem po za tym ruchem tak dalece w tyle, że nawet nie zdobędziemy się na to, co w naszych stósunkach jest możebne?

Niepodobno przypuścić np. żeby zamiłowanie w wygodzie u inteligencyi tak duchownej jak świeckiéj, miało stanąć na przeszkodzie zakładaniu Towarzystw Czeladzi Katolickiéj, które w stósunkach naszych są najgwałtowniejszą potrzebą.

Ale nie sam wzgląd na wygodę staje na zawadzie w téj sprawie.

Odzywają się głosy, że przez ruch ten duchowni i wyższa inteligencya, chcą zawładnąć umysłami warstw średnich, czeladzi itd., a ztąd powstaje niechęć przeciwko ruchowi.

Słysząc takie zarzuty, prawdziwie z podziwienia wyjść nie można. Inteligencya bynajmniéj tak gorąco do sprawy téj się nie bierze, żeby ją posądzać aż o duchowo-zabórcze zamiary. Właśnie co tylko wyrażaliśmy ubolewanie, że warstwy światlejsze nie garną się należycie do inicyatywy, więc prawdziwą niespodzianką logiczną musi być rozprawianiesię z obawą, że ona zamierza zabić samodzielność rozwoju duchowego w ludzie.

Zdanie takie zrodziło się na protestancko-niemieckim gruncie liberalizmu i z wielką szkodą dla stosunków naszych powtarzane bywa przez jednostki. Opinia bowiem ludu, ilekroć samodzielnie znajduje się w możności objawienia swego zdania, zawsze raczéj utyskuje nad abstynencyą inteligencyi od spraw jego, a nie nad chęcią zawojowania, komenderowania itp.

Tak wojowniczą, wygodna inteligencya nasza bynajmniéj nie jest. Napędzać ją trzeba, żeby się poczuwała do inicyatywy w pracy społecznéj, a nie hamować jéj rzekomo zaborcze zapędy.

Byłoby rzeczywiście na czasie, gdyby głosy z ludu w różnych pismach w téj mierze oświadczyć się chciały, a może przecież ustanie to bałamuctwo, które nas w osłabieniu, jeszcze do siebie wzajemnie zniechęca.

Narzekamy tak często na brak ludzi, na brak inteligencyi, a gdy najpoważniejsze głosy niosą nam dobrodziejstwo i zachęcają do pospolitego ruszenia wszystkich sił przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi przewrotu, rozbijamy sami szeregi nasze podejrzeniami, zupełnie bezpodstawnemi.

Jakże inaczéj jest n. p. u Niemców. U Niemców katolików na zachodzie duchowna i świecka inteligencya stoi na czele całego ruchu katolickiego i nikomu się nie śni odpychać ją, jako żywioł zapowietrzony, jako parszywą owcę, jak się to u nas dzieje w pewnéj mierze.

A i tu u nas przyjrzyjmy się działaniu stowarzyszeń niemieckich. Jak to one skrzętnie i z wielkiemi ofiarami pieniężnemi, sprowadzają sobie na swe posiedzenia i odczyty prelegentów nawet z katedr uniwersyteckich.

Nie jest że to — mutatis mutandis — przykład godny naśladowania i dla nas? Żaden naród, żadna sfera społeczna nie może się obyć bez współdziałania inteligencyi. Kto inaczéj twierdzi, znajduje się na najmylniejszéj drodze, bo samouctwo lub rzekoma poduczałość, rychło się muszą wyczerpnąć i zejść na drogi niewłaściwe.

Przedewszystkiem zaś nie widzimy, żeby rzeczywiście inteligencya żywiła zamiary zaborcze. Wszelkie insynuacye w téj mierze wyrażane, nie mają innéj podstawy, prócz chęci dokuczania osobistościom przez osobistości. Na tem cierpi rzecz, cierpi ogół. Inteligencya odtrącana, cofa się, a niechętni zastąpić jéj ubytku nie mogą, mimo wszelkie przechwałki.

Ten smutny stan rzeczy ustać powinien, jeżeli się nie mamy wydać na pośmiewisko cywilizacyi, w pierwszym rzędzie katolickiéj.

Dziś na porządku dziennym powinna stanąć u nas organizacya towarzystw czeladzi katolickiéj, co bez zwartości i wzajemnéj wyrozumiałości w sferach ludowych, a mianowicie w prasie ludowéj, będzie niemożebnem.

Domarat.

Drugi występ moskalofilski w delegacyi.

Wiedeń, 14 października.

(≡) W komisyi delegacyi austryackiéj wczoraj powtórnie przemawiał duch *moskiewski* przez usta młodoczecha Eima — duch „dyamentralnie sprzeczny z naszemi poglądami,“ jak to zaraz na pierwszém posiedzeniu skonstatował prezes *Jaworski* w zgodzie z całą oświeconą opinią publiczną narodu

polskiego. Na porządku obrad stał budżet *Bośnii i Hercegowiny*. Przy téj sposobności p. Eim odczytał mowę, złożoną z samych wycinków z „Narodnich Listów.“ Na usprawiedliwienie téj nowéj metody układania mów delegacyjnych p. Eim zaznaczył, że dzienniki czasem są dokładniéj poinformowane od delegatów. Prawda, odpowiedział potém minister Kallay, ale są też różne dzienniki! — Oczywiście „Narodni Listy,“ które n. p. swe wiadomości o stósunkach blizkiéj Galicyi czerpią z „Dniewnika Warszawskiego“ i wystawiają mu świadectwo, że jest „najlepszém źródłem do poznania stósunków słowiańskich,“ nie należą do rzędu dzienników... dobrze poinformowanych. Najlichszy aspirant karyery dyplomatycznéj nie byłby tyle naiwnym, aby się o stósunkach w Galicyi chciał poinformować z „Dniewnika Warszawskiego.“ Takich tendencyjnych niedorzeczności mogą się dopuścić tylko dzienniki — młodoczeskie.

Minister Kallay potém zauważył także, iż informacye p. Eima pochodzą może z szynku — aus einer „Schnapsbude.“ I w téj mierze p. minister złożył dowód najdokładniejszéj znajomości stósunków młodoczeskich, gdzie plotki karczemne zastępują najczęściéj poważne informacye.

Na mocy takich informacyi, p. Eim stósunki w Bośnii i Hercogowinie wystawia w świetle najujemniejszem. My nie jesteśmy tak dalece optymistami, aby teraźniejszy staw w tych prowincyach uważać jako „le meilleur monde de tous les mondes possibles.“ Ale też niepodobno domagać się, aby w ciągu 14 lat prowincya, która przez wieki była ogniskiem nadużyć tureckich i ustawicznego rozboju na rozstajnych drogach, zamieniła się na wzór dla świata cywilizowanego. Zadowalniamy się tem, że tam widocznie dawniejszy chaos ustępuje po woli jako tako normalnym stósunkom, że powstają koleje żelazne, szkoły i znikają historyczni rozbójnicy przynajmniéj z głównych dróg. Nie porównywamy Bośnii i Hercogowiny n. p. z Górną Austryą albo z Styryą, lecz z ościenną Serbią i Czarnogórzem, które o wiele dawniéj uwolniły się z pod rządów tureckich, a wtedy to porównanie wypadnie stanowczo na korzyść administracyi austryacko-węgierskiéj. Z tego to punktu widzenia r. z. prof. *Biliński* jako sprawozdawca budżetu dla prowincyi zajętych, mógł sumiennie podnieść ich pomyślny, a nawet świetny rozwój.

Pan Eim, na mocy specyalnych „informacyi“, dostrzega wszędzie same objawy ujemne. Dla czego? Bo tak każe polityka moskiewska.

Mianowicie p. Eim oburza się, że dotąd Bośnia i Hercogowina nie otrzymały sejmu.

Ależ ościenne Czarnogórze, gdzie panuje jedyny orgi przyjaciel cara, także nie ma sejmu. Że w Serbii *skupczyna* jest najlichszą, jaką sobie wyobrazić można, karykaturą ciała parlamentarnego, wszyscy wiemy. O „sobraniu“ bułgarskiém właśnie Młodoczesi ciągle zapewniają, że jest ono gronem posłów, którzy swe mandaty zawdzięczają jedynie „gwałtom“ Stambułowa. My tego zdania nie podzielamy, jednak niewątpliwie „sobranie“ nie byłoby ocaliło Bułgaryi, gdyby się nie był w osobie Stambułowa znalazł genialny mąż stanu, a w osobie ks. Ferdynanda I ofiarny i poważny władzca. Nareszcie nawet w staréj *Chorwacyi* sejm do niedawna, w skutek wybryków frakcyi radykalnéj, był podobniejszy do karczmy, niż do parlamentu, i dopiéro mniej więcéj od 5 lat, dzięki energii bana hr. Khuen-Hedervarego jako tako stał się podobnym do ciała parlamentarnego. Zresztą nie trudno domyślać się, jakby wyglądał sejm *czeski*, gdyby tam zasiadali sami Młodoczesi.

W każdym razie troskliwość p. Eima o sejm bośniacki, jest bardzo podejrzana. Jeżeli Młodoczesi zasadniczo pragną ustalenia się wszędzie form parlamentarnych, to trudno zrozumieć, dla czego ich nie żądają także dla Czarnogórza, dla Rosyi, a przynajmniej dla *Polski*, gdzie aż do okupacyi „bratniego narodu słowiańskiego“ od najdawniejszych czasów sejm istniał? Dla czego sejmu krajowego żądają jedynie dla Sarajewa? Oczywiście sejm jest pretekstem tylko, a chodziło jedynie o to, aby podnieść jakieś gravamen przeciwko rządom austryacko-węgierskim.

Pomiędzy różnemi plotkami, na jakich p. Eim oparł swój akt oskarżenia rządów austryackich, wielką rolę odgrywają te, które dotyczą wrzekomego faworyzowania zakonów katolickich, zwłaszcza Jezuitów i Trapistów. Niedawno temu podaliśmy w „Kuryerze“ na podstawie mowy wygłoszonéj na katolickim zjeździe w Linzu, obraz kościelnych stósunków w zajętych prowincyach. Czytelnicy wiedzą więc, jakich trudności i przeszkód doznawają tam katolicy ze strony prawosławnych. P. Eim naturalnie występuje jako delegacyjny agent tych prawosławnych.

Minister Kallay w swéj odpowiedzi, naukowemu zakładowi Jezuitów w Trawniku wystawił najchlubniejsze świadectwo. Co do Trapistów, ci zajmują się wyrobem sera i piwa; skargi p. Eima, jak zaznaczył minister, pochodzą od konkurentów, zwłaszcza od producentów wódki.

To pewna, że ten drugi występ moskalofilski w delegacyi austryackiéj, tak samo jak pierwszy, wyjaśnił ponownie, że Młodoczesi bez skrupułu i bez wszelkiego względu na interesa monarchii habsburskiéj, stawają się agentami polityki rosyjskiéj i to nawet téj polityki pokątnéj, intryganckiéj, anarchicznéj, do któréj się ani nie przyznaje otwarcie rząd rosyjski. Ze emisaryusze téj polityki mogą głos zabierać w najwyższem parlamentarnem ciele monarchii habsburskiéj, jest to objaw nader przykry. W Rosyi osoba, któraby w taki sposób publicznie występowała przeciwko interesom Rosyi, a służyła tak gorliwie interesom Austryi albo Niemiec — natychmiast odbyłaby podróż na Sybir!

KORESPONDENCYE.

Berlin, 16 października.

(S.) Znana Wam propozycya prof. Harnacka, odnosząca się do usunięcia odnośnie do zaprowadzenia zmiany w składzie apostolskim, wywołała walkę w łonie kościoła protestanckiego. Wierzący ewangelicy głośno potępiają w publicznych oświadczeniach to wystąpienie uczonego teologa ewangelickiego, a mająca się zebrać w pierwszéj połowie listopada w Berlinie konferencya superintendetów zajmie z pewnością także stanowisko w obec téj sprawy. Dziwnym zbiegiem okoliczności, na kilka dni przed owém wystąpieniem prof. Harnacka wyszła we Fryburgu u Herdera książka znanego Jezuity niemieckiego O. Hoensbroecha p. t. „Christ und Widerchrist,“ która jest niejako odpowiedzią na wywody prof. Harnacka. Zdawaćby się mogło, iż książka ta została napisana specyalnie z powodu owéj walki i właśnie dla tego, iż ją wyprzedziła co do czasu, tém jest cenniejszą, ponieważ jest napisaną z czysto objektywnego stanowiska. Celem książki jest „zdemaskowanie antychrześciaństwa i obrona chrześciaństwa,“ a cel ten, jak zaznacza sam autor we wstępie, ma swe uprawnienie. Odstępowanie od chrześciaństwa, wypieranie się prawd jego stanowią upadek naszych czasów, ponieważ wraz z chrześciaństwem stoi lub upada oświata, wykształcenie i moralność. Niepodobna zaprzeczyć, że dziś z jednéj strony socyalna demokracya, z drugiéj zaś przedstawiciele nowoczesnéj nauki usiłują naruszyć podstawy tego chrześciaństwa. Niebezpieczeństwo grozi bez wątpienia ze strony socyalistycznéj, lecz matką głównego wroga, jego najpotężniejszą pomocą, jest nowoczesna nauka z swém antychrześciaństwem. To antychrześciaństwo, jak słusznie powiada autor książki, „wciska się we wszystkie stósunki, szerzy się w słowie i piśmie, panuje prawie nieograniczenie w „nauce,“ rozpiera się dosłownie na katedrach wszechnic; zakłady wychowawcze dla dorastającéj chrześciańskiéj młodzieży stoją pod jego znakiem a nawet teologia — protestancka — padła jego ofiarą.“ Głównem tedy zadaniem książki Ojca Hoensbroecha jest dostarczenie dowodów na to twierdzenie, a że uczony Jezuita znakomicie spełnił to zadanie, zbyteczna chyba dodawać. Dokąd to doprowadzi, gdy teologia odstępuje od swego zadania i gdy chrześciańscy teologowie naruszają wewnętrzne podstawy chrześciaństwa? Kościół, w którego łonie zachodzą takie rzeczy, przebywa ciężkie przesilenie a rzeczy te dzieją się codziennie, jawnie w najpierwszych zakładach naukowych w Niemczech, na uniwersytetach prowadzi owa teologia gospodarkę swoją. Protestancka teologia nie przyznaje się już do chrześciaństwa, lecz do antichrześciaństwa, to czego uczy, nie jest Chrystusem, lecz antychrystem, tak stwierdza autor i udowadnia to twierdzenie na podstawie pism pierwszych przedstawicieli protestanckiéj teologii. Kto czytał pisma tych teologów, ten przyznać musi naszemu autorowi słuszność, że tam zarzucono chrześciaństwo wraz z jego podstwą zupełnie. Nie są to już przedstawiciele chrześciaństwa, a gdyby byli otwartymi, powinniby to przyznać głośno, tak jak to uczynił Strauss i Hartmann. Z każdéj karty téj książki przebija zamiłowanie prawdy i przywiązanie do chrześciaństwa, nie ma tam śladu nienawiści lub chęci do wyznaniowéj polemiki. O tem świadczy każdy wiersz, nie znajdziesz tam bowiem ani jednego słówka obrażającego uczucia protestantów. Autor zaznacza także, iż podniesionego zarzutu nie czyni *całéj* teologii protestanckiéj. Książka ta godną jest uwagi nie tylko w kołach katolickich, lecz i protestanckich także.

Jak wiadomo, zaprzeczono pogłosce, jakoby cesarz Wilhelm w czasie swego pobytu w Schoenbrunnie miał był przyjąć ks. Cumberlanda na posłuchaniu i berlińskie pisma zapewniały w tych dniach, że wraz z prawnem uregulowaniem sprawy funduszu welfickiego skończyły się także stósunki cesarskiego dworu niemieckiego do ks. Cumberlanda i jego krewnych. Tymczasem „Post“ dowiaduje się, że w tej sprawie bardzo czynny udział biorą dwie kobiety i to królowa W. Brytanii i wdowa po królu Jerzym hanowerskim, działając każda w przeciwnym kierunku. Królowa Wiktorya, która zawsze uważała księcia Cumberlanda, jako należącego do rodziny swojéj, starała się wpłynąć na niego, aby zupełny zawarł pokój z Prusami. To atoli stać się może tylko za pomocą zrzeczenia się prawa do tronu i posiadania Hanoweru. Temu sprzeciwia się matka jego, która mu zawsze przypomina przysięgę, jaką złożył zmarłemu swemu ojcu, że w obec Prus zachowa to samo stanowisko, jakie on do końca życia zajmował. Teraz atoli zachodzi dla rodziny welfickiéj kwestya następstwa tronu w Brunświku, która może zostać rozwiązaną za pomocą zrzeczenia się tronu hanowerskiego. Polityczny ten dylemat ma znaleźć rozwiązanie przez to, iż książę Cumberland przeniesie swe prawa na najstarszego syna swego, który nie będąc związany przysięgą, jak ojciec, będzie mógł swobodnie działać.

W piątek o godzinie 6 wieczorem odbyło się urzędowe oddanie rektoratu uniwersytetu berlińskiego w ręce prof. Virchowa. W sali senatu zebrali się wszyscy profesorowie. Dotychczasowy rektor prof. Förster dał pogląd na sprawy uniwersytetu w ciągu roku swego urzędowania, poczem ogłosił prof. Virchowa jako nowego rektora i wręczył mu pieczęcie oraz klucze wszechnicy. Były rektor podziękował następnie swym kolegom za pomoc w administrowaniu i przedstawił swego następcę, który przemówił do zgromadzonych.

Wielkie zaniepokojenie wywołała wiadomość jednego z pism berlińskich, dotycząca obostrzania prawa prasowego. Tymczasem dotąd nie słychać nic o zamierzonéj zmianie, chodzą tylko pogłoski, że obostrzonym ma zostać ustęp 3 § 23, odnoszący się do przypadków, w których z powodu zachęcania i przygotowywania do zdrady stanu, jako też z powodu niebezpieczeństwa grożącego moralności, wolno konfiskować pisma i broszury.

Ile materyałów piśmiennych potrzebuje rocznie administracya miejska stolicy Niemiec? Na to zapytanie odpowiadają w mieście z blizko 2 milionami mieszkańców bardzo imponujące liczby. Przy przestrzeganiu jak największéj oszczędności spotrzebowano w administracyjnym 1891/92 roku 1,164,941 arkuszy papieru, 27 wiązek gęsich piór (po 25 sztuk), $328^{1}/_{10}$ kilo laku do pieczętowania, $2564^{1}/_{2}$ pudełek po 12 tuzinów piór stalowych, $36^{7}/_{16}$ kilo opłatków, 6922 trzonków do piór, $465^{7}/_{8}$ kilo sznurka, 21 025 ołówków, $2112^{7}/_{8}$ litrów atramentu, 5692 ołówków kolorowych, 560 gramów jedwabiu do szywania, 1464 kłębków nici, 3288 szpilek, 193 linijek, 129 scyzoryków, 85 sztuk nożyc do papieru, daléj 463 butelek farby stemplowéj, 356,614 kopert i 1899 kawałków gumy do wycierania. Papieru do druku potrzebowano 6,747,167 arkuszy. Do wydawania „dziennika gminy“, którego nakład wynosił 8900 egzemplarzy, potrzeba 1,700,062 arkuszy papieru.

O modnych meblach ciekawy wykład wygłosił w zeszłym tygodniu profesor dr. Lessing, ganiąc w części meble wystawione na berlińskiéj wystawie sprzętów domowych, głównie w skutek małego udziału, jaki biorą architekci i rysownicy przy obmyślaniu wzorów. Styl renesansowy zbyt często zachodzi i to w sposób źle zrozumiany. Prelegent jako przyczynę tego, iż stolarze wyrabiają bogate a niepraktyczne sprzęty, podaje nierozsądną żądzę wystawności ze strony publiczności, która przy zakupnach więcéj kładzie nacisku na powierzchowność, aniżeli na praktyczność mebli. Mówca stwierdził, iż niemieccy przemysłowcy powinniby się niejednego nauczyć od zagranicznych, którzy wyrabiają meble skromne i proste, lecz nadewszystko odpowiadające właściwemu celowi.

Gdańsk, 16 października.

(Nowy radzca szkólny. — Skargi na ździczenie dziatwy szkólnéj. — Fundusze na utrzymanie szkoły polskiéj w Gdańsku. — Sprawa wyborów kwidzyńsko-sztumskich.)

Na tutejszéj rejencyi urzęduje od pewnego czasu znowu ksiądz katolicki, jako radzca szkólny, jest nim ksiądz dr. Plischke.

Od roku 1883, kiedy radzca prowincyonalny ks. dr. Kayser, został mianowanym proboszczem

Listy Unitów.

Część trzecia.

LIST LXXIII.

Orenburska gubernia, 16 maja 1892.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Ja . . . . miałem szczęście otrzymać list Ojca dnia 15 maja i . . . . . Każdy z nas tu żyjący, stary i młody, dziękuje od serca i duszy Bogu Najwyższemu za jego najświętszą Opatrzność i też Ojcu duchownemu i tym dobrodziejom naszym niech Bóg nagrodzi życiem i zdrowiem i urodzajem ziemskim.

Kochany Ojcze, donosimy teraz, że u nas dziś się zaczyna wiosna i w polu zaczynają siać i orać, ale w jaki sposób? Oto w taki, że rząd daje po 2 pudy pszenicy na każdą duszę, kozakom i włościanom, na posianie morga. Więc ten naród nie ma koni, wołów albo krów do orania i bronowania, więc sami ciągną pługi i orzą i sieją i bronują. Sami muszą ciągnąć, bo bydło, co było, to wyzdychało wszystko z głodu. Koni to mówią, że rząd dostawi z Polszczy i z Rosyi na tutejsze potrzeby.

Tak samo w powiatowem mieście Czelabie ludzie sami ciągną wozy z mierzwą i furmanki, a na psach odbywają się podróże i pocztowe wozy psy ciągną. Rząd obiecuje ten lud karmić aż do miesiąca sierpnia. Zboże tu jeszcze bardzo drogie. Pud żyta kosztuje 2 ruble; pszenicy 2 ruble 20 kopiejek; jęczmienia 2 ruble, grochu 2 ruble kaszy po 3 ruble pud. Siana pud 1 rub. 20 kop. Słomy pud 50 kop.

Donoszę jeszcze, że do nas z Polski piszą, że wielkie prześladowanie jest w naszym kraju, że do kościoła nie puszczają, że za chrzest i za śluby wielce karają.

Tutaj ludzie bardzo umierają, a w mieście Czelabie po 30 i 40 osób na dzień umiera, a głównie na tyfus i z głodu. Małe dzieci to rząd zabiera do takich domów i karmi i odziewa. A odzienie to z Rosyi przysyłają dla ludzi. Najwięcéj zaś dla małych dzieci koszulki, sukienki i obuwie. Wciąż też przywożą na policyą małe dzieci i rzucają, a rząd musi je zbierać i karmić. Ale starzy tak samo przychodzą do policyi i kładą się na ziemię i leżą, a rząd musi dać jeść i odziewać. Ale mimo to wielu z głodu umiera.

My zaś, żyjąc do tego czasu przy łasce i miłosierdziu Boskiem, polecamy się modlitwom waszym i jeszcze raz dziękujemy za waszą ofiarę.

(6)

Pani Litaworowa.

Z ksiąg Metryki litewskiéj

przepisał

Mikołaj Bobowski.

(Ciąg dalszy. — Zobacz numer 236).

Ościkom jednak zdawało się, że to niemożliwe i że pani Litaworowa zmyśla jakiś zapis, który w rzeczywistości nie istnieje. Odwołali się przeto do sądu. Lecz pani Litaworowa posiadała istotnie ów zapis i przedstawiła go królowi. Jakże wtedy musiało się ściskać serce panom Ościkom, gdy z onego dokumentu zaczęto czytać, że „niebożczyk pan Litawor zapisał żonie swéj włości w drohickim powiecie na imię Horodek i Wysokie, daléj zapisał jéj za wiano w 3000 kóp groszy Wyszkowo z miasteczkiem Mąkobody i inne sioła, które do tego dworu przynależą i drugi dwór Czekanowo i też dwór w brzeskim powiecie Żyrawice; inne zaś swe posiadłości, na imię Swierzno, Rohowo i Suwek zapisał jéj w dożywocie, jeśliby za mąż nie poszła, a gdyby poszła za mąż, wtedy wsie te spaść miały na jego córki, którym prócz tego pani Litaworowa obowiązana była wypłacić po 100 kóp groszy w razie ich zamążpójścia.“

Nie było zatém inaczéj. Sto kóp groszy, to rzeczywiście cały posag Hanny. Zaprawdę wiadomość ta mogła przygnębić panów Ościków i pan wojewoda może w duszy złorzeczył już chwili, w któréj zezwolił na związek swego syna z panną Litaworowną.

Ale zasmucenie ich nie trwało długo. Bo po odczytaniu onego testamentu Litawora „widziało się królowi i panom radom, że zapis ten niesłusznym obyczajem jest pisan dla tego, że się sprzeciwia ustawie królewskiéj i uchwale ziemskiej, które król z panami radami ustanowił wszystkim poddanym Wielkiego Księstwa Litewskiego“, a które warują, żeby „nikt wiana swéj żony nie zapisywał na swych dobrach wyżéj, jak na trzeciej części“. Z tego względu król, nie dochodząc nawet, czy zapis Litawora był wiarogodny, kazał go „skazić“ i postanowił, żeby każda z córek Litawora miała w jego spuściźnie równy udział z matką.

Hanna nową tą porażką pani Litaworowéj nie była jeszcze zaspokojona. Odzyskawszy swą ojcowiznę, umyśliła pozbawić matkę także działu, przeznaczonego dla drugiéj jéj córki Zofii. Ta bowiem nie mogła go sama objąć, mając według świadectwa pani Litaworowéj dopiero pół czwarta roku. Przytem chciała też może Hanna wziąć mały odwet za swe męczarnie, rzucając na matkę podejrzenie o niedochowanie wiary małżeńskiéj. Rzekła bowiem do króla:

— „Pani Litaworowa powiada, że ma u siebie drugą córkę pana Litawora, siostrę moją rodzoną, a ja o niéj nie jestem świadoma.“

Insynuacya pani Jerzowéj nie pozostała bez skutku. Król z panami radami przykazał pani Litaworowéj w trzech niedzielach po przyszłéj wielkanocy tę młodszą córkę na sąd przyprowadzić i „słusznym dowodem wywieść, iżby to była sprawiedliwie prawa córka pana Litawora.“ Tymczasem miano uskutecznić działy. Wyjąwszy dwory Horodek i Wysokie, które przypadały pani Litaworowéj, resztą majątku miały się obydwie jéj córki porówno podzielić, każda z nich biorąc po połowie. Zarząd schedy młodszéj córki pozostawiono pani Litaworowéj, ale, „ażeby tam niczego nie skażono“, poddano go kontroli pana Fedka Chreptowicza, brata Litawora. Gdyby zaś młodsza córka z pochodzenia swego od Litawora się nie sprawiła, wtenczas dział jéj miał przejść na panią Jerzową.

Hanna, dokuczywszy matce już tyle, nie oszczędziła jéj jeszcze jednéj skargi, żałując na nią „o skarby i listy przywilejne, które się po śmierci Litawora u niéj ostały.“ Król przypomniał sobie teraz, że swego czasu „kazał był niektóre skarby pana Litaworowe w jego dobrach popieczętować, a pani Litaworowa te skarby pobrała.“ Uchwalono zatem, że pani Litaworowa na wspomnianym terminie po wielkanocy i na ten zarzut ma odpowiedzieć i zwrócić Hannie należące się jéj skarby i przywileje.

Przy téj okazyi załatwił też król w znany nam już sposób sprawę skarbów Sołtana.

O ile pani Litaworowa uwzględniła wszystkie te wyroki królewskie, tego źródło nasze nie powiada. Możemy jednak przypuścić, że nie zdołała ich obejść, bo inaczéj Ościkowie byliby ją niewątpliwie molestowali dalszemi procesami. Legitymacyę młodszéj córki udało się pani Litaworowéj przeprowadzić. Wielka szkoda, że co do téj kwestyi nie znamy bliższych szczegółów, bo istnieją pewne poszlaki, że zarzut Hanny niezupełnie był nieuzasadniony. Podług tego, co wiemy z ust saméj pani Litaworowéj, miała młodsza jéj córka w czasie ostatniego procesu t. j. w roku 1516 dopiero półczwarta roku, tymczasem już w roku 1523 wychodzi ona za mąż. Jestto rzeczą niemożliwą, żeby dziewczynka, która skończyła zaledwie lat 10, wstępowała w związek małżeński, choćby to nawet była córka pani Litaworowéj. Więc chyba pani Litaworowa wiek swéj córki za nisko podała. Ale jakaby tego była przyczyna? Znajdziemy, że mogła być bardzo prosta, gdy sobie przypomnimy, iż Litawor dopiero w r. 1508 powrócił z niewoli. Nie chcemy jednak posądzać pani Litaworowéj, skoro przed współczesnymi się usprawiedliwiła. A że tak było, wynika z utrzymania się jéj przy administracyi majątku Zosi. Pomyślny obrót téj sprawy dał pani Litaworowéj pole do nowych intryg, jak się o tem przekonamy poniżéj.[1])

Hanna po odniesionem nad matką zwycięztwie schodzi z naszéj widowni. Z testamentu, który spisał Ościk w r. 1546, zasięgamy o niéj jeszcze tylko tę wiadomość, że była matką dwóch synów i dwóch córek. Żyła jeszcze w roku 1536. Po jéj śmierci Ościk zawarł powtórne śluby, żeniąc się z księżniczką Maryną Zasławską-Mścisławską.

V.

Pani Litaworowa w nieszczęsnym procesie z Ościkami straciła dużo, ale mogła się jeszcze pocieszyć, że uratowała przynajmniéj dział młodszéj swéj córki Zosi. Prawda, że otrzymała go tylko w czasowy zarząd, atoli uważać go już może za swoją własność, bo co się udało Hannie, to się Zosi nigdy nie uda. Pani Litaworowa nie nadarmo okupiła tak drogo doświadczenie, żeby z niego nie miała skorzystać. Przekonała się, że na gwałcie, który chciała zadać Hannie, zrobiła zły interes, i nie miała chęci próbować go powtórnie. W celu wyzucia Zosi z majątku chwyci się wręcz innego sposobu — użyje dobroci, pod maską któréj nikt się nie domyśli niczego nieprzyjaznego, aż będzie po wszystkiemu.

Pani Litaworowa założyła sobie, że, skoro Zosia objawi chęć wstąpienia w stan małżeński, nie będzie jéj robiła żadnych trudności, owszem sama jéj w tem dopomoże. Kiedy więc w jéj córce zakochał się pan Jan Oborski, mienny szlachcic z Mazowsza, i serce jéj podbił, pani Litaworowa, lubo że Zosia wychodziła zaledwie z lat dziewczęcych, zgodziła się bez wszystkiego na ich związek. Zasięgała wprawdzie u swych sąsiadów, jak n. p. pana Stanisława Wojsławskiego, sędziego ziemi liwskiéj, zdania o osobie Oborskiego, lecz czyniła to niezawodnie li tylko z troskliwości matczynéj o dobro córki, nie chcąc nieznanemu bliżéj człowiekowi szczęścia jéj powierzać.

Ślub Zosi odbył się na życzenie pani Litaworowéj w Mąkobodach z zachowaniem wszelkich przepisów kościelnych i z niemałą okazałością. Dnia 23 września 1523 r., po wyjściu zwykłych zapowiedzi, wielebny ksiądz Marcin, pleban na Budzieszynie i Mąkobodach, odprawiwszy w swym kościółku solenne nabożeństwo na intencyą młodéj pary, odebrał od niéj przysięgę małżeńską. Pani Litaworowa zaś, która sama prowadziła córkę do ołtarza, sprawiła jéj huczne wesele przy udziale mnóstwa „zacnych gości“.

Wkrótce po ślubie pan młody zmuszony był wyjechać do Krakowa i zostawić swą małżonkę w Mąkobodach. W kilka dni potem wybrała się pani Litaworowa razem z Zosią na Mazowsze do dóbr Oborskiego i, jadąc rzemiennym dyszlem od Sierni do Słodziewa, a ztamtąd do Głowaszewa, zostawiła tam Zosię, nie zastawszy swego zięcia w domu. Oborski po powrocie z Krakowa zdziwiony był może, znalazłszy swą żonę już w Głowaszewie, ale pewnie nie bardzo się o to gniewał, że prędzéj, niż myślał, zażyje z nią słodkich małżeńskich wczasów. Nie przeczuwał, że pani Litaworowa przygotowywała niespodziankę, która miała mu zamącić rozkosze miodowych miesięcy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Metr. lit. 195. f. 567, 571, 576, 582, 597, 599.

tumskim w Wrocławiu, jest to pierwszy ksiądz, którego powołano na stanowisko radzcy szkólnego przy tutejszéj rejencyi. Ks. dr. Plischke pochodzi z Górnego Slązka, gdzie aż do swego powołania na stanowisko radzcy, był dyrektorem seminaryum nauczycielskiego.

O ile nam wiadomo, włada ksiądz dr. Plischke także językiem polskim. Osobistość księdza radzcy rob w ogóle nader sympatyczne wrażenie, daj Panie Boże, aby wpływ jego przyczynił się do zmiany przykrych stósunków szkólnych w Prusach Zachodnich na lepsze.

Tutejsze pisma niemieckie narzekają ogromnie na ździczenie młodzieży szkólnéj na Kaszubach. Pomiędzy innemi wywodzi i katolicki „Westpreus. Volksblatt“ gorzkie żale z tego samego powodu. Gdyby pismo to jednakże zechciało wyświecić, zkąd owo ździczenie pochodzi, co jest powodem jego, gdyby zechciało wykazać, że przewrotny wykład nauki religii świętéj, to jest wykład w języku niemieckim, którego dzieci kaszubskie nie rozumieją, jest główną przyczyną, toby się żale jego może na co przydały, gdyż mogłyby osobom kompetentnym oczy otworzyć. Lecz o to „Westpr. Volksblattowi“ bynajmniej nie chodzi, a zaprowadzenie polskiego wykładu nauki religii świętéj przeraziłoby pismo to, mimo katolickiego jego charakteru, więcéj, aniżeli wszystkie kulturkempferskie blaty. „Volksblattowi“ chodzi bowiem o wykazanie, że tylko jak najprędsze zgermanizowanie Kaszub zdoła podnieść poziom moralny dziatwy szkólnéj. — A ileby się to przy tém abonentów zyskało!

Jedna z gazet pisały przed niedawnym czasem, iż tutejsi Polacy mają zamiar założyć tutaj szkółkę polską. Założenie takiej szkółki byłoby tutaj ze wszech miar pożądanem. To téż czynią się, jak się dowiadujemy, w tym kierunku usilne starania. Nader ciekawem jest, że w Gdańsku znajduje się podobno jeszcze z dawniejszych czasów *fundusz na utrzymanie szkoły polskiéj*. Nie wiadomo, ile w téj pogłosce prawdy, trzebaby sprawę tę jednakże zbadać i gdyby się pogłoska sprawdziła, dbać aby rzeczony fundusz z użyto w myśl fundatora jego.

Nawet socyaliści rozpoczynają już agitacyą w okręgu wyborczym kwidzyńsko-sztumskim, gdzie już postawili kandydata swego, *malarza Risopa*, a nasz komitet wyborczy dotąd nie daje znaku życia.

Ziemie Polskie.

* Do „Politische Correspondenz“ donoszą z Warszawy: W Kijowie i Wilnie ma nastąpić pomnożenie sztabów garnizonowych, godne uwagi nie ze względu na liczbę, lecz z innych powodów. Dla każdego z wymienionych obwodów wojskowych ma być mianowicie utworzoną nowa posada jenerał-majora, który komenderującemu jenerałowi do szczególnych poruczeń przydzielonym zostanie. Zarząd armii szczególniejszy kładzie nacisk na służbę kolejową i telegraficzną w razie wojny i zarządził, aby na przyszłość kandydaci na naczelników stacyi i ich zastępców, jako też na prowadzących pociągi w specyalnych egzaminach wykazywali, iż posiadają potrzebne do tego wiadomości.

— Zarządzający dobrami państwa gubernii nadbałtyckich, Naryszkin, został mianowany gubernatorem podolskim po zmarłym Jankowskim.

Niemcy.

* ***Berlin***, 16 października. Jako kuryozum powtarza „Germania“ następujące miejsce z „Freis. Ztg.“: „Jako nagrodę za nowy projekt wojskowy, którą wymieniają teraz publicznie wedle orzeczenia dep. Arendta w niemieckim „Wochenbl.“, zamierza hr. Caprivi opróżnić dla stronnictwa centrum stanowisko sekretarza stanu w urzędzie skarbu. Na miejsce bar. Maltzahna przyszedłby bar. Huene. Ten ostatni wedle informacyi innych pism bawił przed niedawnym czasem w Berlinie. W téj kombinacyi naszem zdaniem zanadto lekceważą sobie nie tylko centrum, ale i mądrość p. Huenego.“ To prawda, dodaje „Germania“. A dr. Arendt zdaje się od kilku miesięcy naśladować Alcybiadesowe wybryki młodości, aby bądź co bądź wywołać wrażenie i rozgłos dla swego pisma.

— *Przedwstępne* prace do projektów pruskiéj reformy podatkowéj postępują raźnie. Wedle urzędowych doniesień są już projekta, dotyczące zniesienia podatków państwowych na korzyść gmin i podatków uzupełniających do podatku dochodowego, wykończone wraz z umotywowaniem. Obecnie podlega ostatecznéj rewizyi projekt do ustawy o podatku gminnym na podstawie orzeczeń żądanych od władz prowincyonalnych, miejskich itd. Orzeczenia nie ograniczają się na ważnym w każdym razie punkcie odgraniczenia dziedziny podatków realnych i osobistych dla etatu gminnego, lecz obejmują całą dziedzinę podatków gminnych. W obec wielkiéj liczby pojedyńczych kwestyi, poruszonych przy téj sposobności, nic dziwnego, że znajduje się wiele poszczególnych propozycyi, które muszą być dokładnie przejrzane i zbadane. Ale i ta praca jest już na ukończeniu i można z całą pewnością oczekiwać zaraz na początku sesyi sejmowéj przedłożenia ustawy o podatkach gminnych.

— *Odnośnie* do rozwiązania parlamentu uważa jako smutne zaślepienie parlamentarny korespondent „Hamb. Nachr.“ pewność zwycięztwa, ujawniającą się w prasie prowincyonalnéj ze względu na pomyślne skutki rozwiązania parlamentu w 1887 roku i pisze: „Nie ma dziś sytuacyi ani osób, aby uzyskać podobne powodzenie. Nie ubliży się hr. Capriviemu, jeżeli się mówi, iż on nie jest mężem, któryby zdołał dla swych zamiarów wywołać potężny ruch wśród ludu. Rozwiązanie parlamentu — na to godzą się wszystkie stronnictwa — nie doprowadziłoby do celu.“ W każdym razie uważa korespondent ciężkie przesilenie za nieuniknione.

— *Z wielkim* niepokojem oczekują badeńscy liberałowie przyszłych wyborów do drugiéj Izby i dla tego zawczasu agitują przeciw „ultramontanizmowi“, wypuszczając strzały na różne strony. Obecnie zamieszcza kulturkemferskie pismo, „Baseler Nachr. następujący elaborat badeński: „Nasz władzca przejęty jest wielkiem obrzydzeniem dla ultramontanizmu, który się szerzy w ostatnich latach; na wskroś uczciwego, otwartego i z gruntu religijnego człowieka napełnia to wstrętem, gdy musi patrzeć na to, jak ze strony ultramontanskiéj mieszają w nieuczciwym zamiarze politykę z religią i odczuwa on boleśnie to, że ludu katolickiego pod płaszczykiem religii nadużywają do politycznych celów. O tem wiedzą dobrze ultramontańscy przywódzcy i ztąd ich nienawiść, ich skryte strzały, ztąd ciągłe oszczerstwa na Badenią za granicą. Niech przyszłe wybory wypadną, jak chcą: ultramontańskiego systemu nie potrzeba się lękać, dopóki żyje W. książe; nasze liberalne zdobycze również nie są zagrożone, gdyż nasz książe, który zrósł się z niemi, a nawet jest ich sprawcą, nie może i nie sprzeniewierzy się swéj przeszło 30-letniéj przeszłości. Dotychczasowa nić, choćby nawet liberalizm został pokonany, przędść się będzie daléj, choćby, powiedzmy, nieco delikatniej, niż dotąd.“

Rosya.

* Wszystkie cudzoziemskie Towarzystwa dobroczynności rozwijające działalność w granicach państwa rosyjskiego, otrzymały polecenie, jak donosi „Nowoje Wremia“, przedstawienia sprawozdań rocznych nie tylko do ministerstwa spraw wewnętrznych, ale i do departamentu ministerstwa spraw zagranicznych.

Afryka.

* Z Aden donoszą, że niewolnictwo kwitnie znowu w całéj pełni. Co dzień przybywają karawany, przyprowadzające ze sobą liczne gromady niewolników, którzy pochodzą głównie z Mombottu, Onnio, Urdungi, Ugogo i t. d. Arabowie sudańscy porozumieli się w tym względzie celem wspólnego działania; postanowili oni oprzeć się całą siłą Anglikom, Niemcom i Belgijczykom, którzy starają się położyć tamę ich nieludzkiemu handlowi. Do takiego postanowienia skłonił ich nagły wzrost ceny niewolników, wzrost, który podniósł w Arabii i Persyi cenę człowieka od 25—30 lat do sumy 1200 franków. Karawany przeprowadzają swój towar bez trudności przez Nitri, gdzie Anglicy tak długo nie mogli osięgnąć pokoju, dopóki nie przymrużyli oka na handel niewolnikami.

Te same informacye każą się obawiać na przyszłą zimę pojawienia się wielkich wojsk arabskich i strasznéj wojny przeciwko Europejczykom, którzy chcą zapobiedz handlowi niewolnikami.

Dla państw interesowanych wynika ztąd naglący obowiązek jak najrychlejszego zajęcia się tem, aby wreszcie temu niegodziwemu handlowi położono koniec.

Cholera.

Hamburg, 15 października. Od wczoraj południa do dzisiaj południa zachorowały tu 24 osoby, umarło 6.

Hamburg, 16 października. Od wczoraj południa do dzisiaj południa zachorowało 10 osób, umarły 3. Dotychczas nie stwierdzono, czy wszystkie przypadki były cholerą azyatycką.

Metz, 16 października. W Houdreville pod Nancy zachorowało dotychczas 20 osób, umarło 7 wśród objawów cholery.

Kraków, 16 października. Wczoraj zachorowała w Krakowie i na Podgórzu jedna osoba. W innych miejscowościach nie wydarzył się ani jeden przypadek cholery.

Peszt, 16 października. Od wczoraj wieczora do dzisiaj wieczora zachorowały tu 24 osoby, umarło 6 osób.

W gubernii lubelskiéj w dniach 9, 10, 11 i 12 bieżącego miesiąca zachorowało ogółem 547 osób, wyzdrowiało 262, zmarło 201, pozostało 491 — w samym Lublinie zachorowało 47, wyzdrowiało 67, zmarło 31, pozostało 111; w powiecie lubelskim zachorowało 46, wyzdrowiało 48, zmarło 26, pozostało 89. Najwyżéj dotkniętym był w tych dniach powiat nowoaleksandryjski, gdzie zachorowało 84, wyzdrowiało 54, zmarło 49, pozostało 101 osób.

Towarzystwa i Spółki.

Walne zebranie powiatowe Towarzystwa Pomocy Naukowéj odbędzie się w niedzielę dnia 23 października o godzinie 5 po południu na sali Hotelu Francuskiego w Śremie, na które powiatowców usilnie zaprasza

Komitet powiatowy.

Ks. Wawrzyniak, prezes.

Walne zebranie Towarzystwa Pomocy Naukowéj na powiat Międzyrzecki odbędzie się w niedzielę dnia 23 października o godzinie 4 po południu na sali hotelu pana Koralewskiego w Pszczewie, na które uprzejmie zaprasza

Komitet powiatowy.

Ks. Enn, prezes.

Walne zebranie Kółek rolniczych powiatu Wągrowieckiego odbędzie się w czwartek dnia 3 listopada o godzinie 11 przed południem w hotelu p. Paszewskiego w Wągrówcu. Na zebranie to, przyrzekł Szanowny Patron bytność swoją. O liczny udział uprasza

Roman Janta-Półczyński,

wice-patron.

Kronika
miejscowa, prowincyonalna i zagraniczna.

Poznań, poniedziałek 17 października.

Uczmy dzieci nasze czytać i pisać po polsku!

* **Doniesienia urzędowe.** Król nadał emerytowanemu nauczycielowi Dickmannowi w Landsbergu nad Wartą orła właścicieli król. orderu domowego Hohenzollernów.

* **Nareszcie** dzisiaj otrzymaliśmy pierwszą przesyłkę portretów Najprzew. ks. Arcybiskupa wedle oryginału artysty malarza p. Czechowicza ze Lwowa — i zaraz dzisiaj rozpoczniemy wysyłkę. Ci szanowni abonenci, którzy dotąd nie nadesłali prenumeraty, zechcą dołączyć do niéj kwotę 30 fen. na przesyłkę, a ci, którzy pieniądze już zapłacili, zechcą tę drobnostkę uiścić przy sposobności.

Dalsze zamówienia chętnie przyjmujemy w kwocie 6 m. 30 fen.

* **Teatr polski w Poznaniu.** Jutro we wtorek komedya Aleks. hr. Fredry „Damy i huzary“ oraz operetka Offenbacha „Bęben“.

Ceny zniżone.

W czwartek komedya Scribego i Legouvé „Ręce czarodziejskie“.

W sobotę po raz pierwszy komedya Zalewskiego „Wycieczka za granicę“, po ray pierwszy komedya Włodz. hr. Koziebrodzkiego „W jesieni“, po raz pierwszy komedya „Zbieg“ i po raz pierwszy wodewil „Sto za sto“.

Bilety abonamentowe nabywać można w składzie materyałów piśmiennych i galanteryjnych „Globus“ przy Wilhelmowskim placu nr. 2.

* **Zakład artystyczny** przyborów kościelnych pp. F. Błażek i S. Lipskiéj, oddany pod opiekę św. Jadwigi, został w sobotę poświęcony przez ks. dr. Skrzydlewskiego w dniu Patronki św. Jadwigi.

* **W piątek** po południu i w sobotę przed południem zwiedzili panowie wyższy radzca rejencyjny Natzmer i radzca rejencyjny i szkólny Skladny szkołę przy placu Sapieżyńskim, w celu przekonania się, jak pielęgnowany bywa w szkole śpiew pieśni kościelnych katolickich, na którego upośledzenie i zaniedbanie ogólnie się uskarżano. Rewizya wypadła nieszczególnie; tylko w jednéj klasie śpiewały dzieci jako tako. Spodziewać się więc należy, że w szkołach naszych katolicki polski śpiew kościelny większą opieką otoczony zostanie, że osobna lekcya mu przeznaczoną zostanie; dotąd połączone były lekcye śpiewu z nauką religii.

* **Kurs** dla córek pastorów i narzeczonych pastorów odbędzie się tu w Poznaniu, a to z inicyatywy jeneralnego superintendenta, dr. Hesekiela. W kursach takich mają być panny te pouczane w rozmaitych gałęziach chrześciańskiéj dobroczynności. Mieszkają one wspólnie w zakładzie Dyakonisek, a pouczają je tak dr. Hesekiel, jak i inni pastorzy. Na kursa podobne wyznaczyła cesarzowa dość znaczną sumę pieniędzy, tak, że kursa te są bezpłatne, a uczennice otrzymują wolne pomieszkanie i utrzymanie.

* **Biuro** drugiego rewiru policyjnego przeniesione zostało z ulicy Szewskiéj na W. Garbary nr. 23.

* **Nowa ulica** po wybrukowaniu jéj kostkowym brukiem otwarta została obecnie dla przejazdu wozów.

* **W lombardzie** miejskim rozpocznie się w czwartek aukcya przepadłych zastawów. Sprzedaż brylantów, złota i srebra odbędzie się w poniedziałek dnia 24 i we wtorek dnia 25 b. m.

* **Rewizya** budynków w rejonach fortecy poznańskiéj rozpocznie się jutro dnia 18 b. m. na Winiarach, Szelągu itd.

* **Asesor** rejencyjny hr. Rittberg w Szubinie mianowany został landratem.

* **Inowrocław.** Dyfterya i szkarlatyna grasuje wielce tak w mieście jak i w okolicy, zabierając liczne ofiary, zwłaszcza pomiędzy dziećmi. Również szerzy się koklusz, biegunka i żarnice.

* **Brodnica.** Dla ułatwienia komunikacyi chciały władze miejskie rozebrać starożytną bramę ku Kamionce, właściwie starą basztę z średniowiecznego obwarowania miasta. Naczelny prezes odmówił przyzwolenia ze względu na starożytność i architektoniczną wartość téj budowy. Natomiast uczynił nadzieję dania zapomogi na kupno przyległych budynków, przez coby droga rozszerzoną być mogła. — Znikł tu nagle w nocy urzędnik budowniczy, dozorujący budowę koszar. Mówią o malwersacyach w kasie.

* **Jako kandydat** socyalistów w okręgu wyborczym Sztum-Kwidzyn postawiony został malarz Riesop z Berlina, dawniéj w Gdańsku zamieszkały.

* **Przeciw** wyścigom dystansowym podniosła się obecnie żywa agitacya w Berlinie, zwłaszcza w sferach konserwatywnych. Inicyatywa w téj sprawie wyszła z łona tamtejszego Towarzystwa dla ochrony zwierząt. Istnieje nawet zamiar poruszenia téj kwestyi w formie interpelacyi w parlamencie. — W „Militär Wochenblatt“ słynny jenerał jazdy Rosenberg konstatuje, że niemiecki komitet dystansowy z góry był pewny zwycięztwa Austryaków, ponieważ ich konie daleko twardziéj niż niemieckie bywają chowane. Wyścigu dystansowego nie można atoli uważać za najlepsze przygotowanie do celów wojennych, gdyż głównych usług kawaleryi szukać należy w służbie ordynansowéj i patrolowéj. Jeżeliby zaś miarę brać można z oficerów austro-węgierskich, którzy w wyścigu dystansowym udział brali, to kawaleryę tę pod względem wytrzymałości i energii uważaćby należało za najlepszą może w świecie. Na każdy sposób czyni ona zadość najwyższym wymaganiom.

* **Ślub.** W sobotę po południu pobłogosławiony został w kościele Opieki św. Józefa (PP. Wizytek) w Warszawie związek małżeński hr. Józefa Załuskiego, syna hr. Michała Załuskiego, właściciela znanéj miejscowości leczniczéj Iwonicza w Galicyi z hrabianką Izą Tyszkiewiczówną, córką urzędnika komory lądowéj w Petersburgu hr. Wincentego Tyszkiewicza i jego małżonki Zofii z Pruskich.

* **Warszawa.** Do Warszawy zjeżdża Sara Bernhardt ze swoją trupą; przedstawienia rozpoczną się 27 b. m. „Damą kameliową“. — Zwrócono uwagę, że koleje żelazne pruskie i austryackie, znajdujące się w okolicach sąsiadujących z krajami polskiemi pod berłem rosyjskiem zostającemi, mają przeważnie kierunek prawie równoległy do naszych granic, podczas gdy z téj strony linie kolejowe idą po większéj części niemal prostopadle do granicy. Okoliczność ta daje Niemcom i Austryakom przewagę w zakresie ekonomicznego rozwoju pogranicznych prowincyi. Obecnie n. p. znany jest charakterystyczny fakt, że towary z Królestwa Polskiego bywają wysyłane do gubernii południowo zachodnich Rosyi transito przez Austryą. Motywa powyższe — jak pisze „Kijewskie Słowo“ — wywołały projekt budowy pogranicznéj linii dróg południowo-zachodnich od Zdołbunowa przez Czarny Ostrów lub Proskurów, daléj na Kamieniec, Largę (stacya nowopowstałych linii nowosielskich), Korneszty i Wał Trajana. Od téj głównéj projektowane są linie pomocnicze, dla połączenia z drogami zagranicznemi: do Husiatyna (komora w gubernii podolskiéj), do Leowa (przystań na Prucie) i do Izmaiły (nad Dunajem). Przybliżony koszt projektowanych kolei wyniesie około 30 milionów rubli. — Zmarł tu w tych dniach we wieku 78 lat senior ogrodników naszych ś. p. Józef Stiche, administrator posesyi Frascati, ojciec dr. Czesława Stichego, ordynującego latem zwykle w Karlsbadzie.

* **Warszawa.** W myśl obowiązującego prawa tylko ci poddani zagraniczni mogą się starać o tutejsze poddaństwo, o ile wykażą, że mieszkają w kraju przynajmniéj w ciągu 5 lat. Podania osób wspomnionéj kategoryi z gubernii: warszawskiéj, piotrkowskiéj i kaliskiéj zostały w ciągu roku, licząc od dnia 13 lipca 1891 do dnia 13 r. b., uczynione w liczbie 740 u. Z pośród życzących sobie przyjąć poddaństwo rosyjskie znajduje się: 268 poddanych pruskich, 385 austryackich, 36 obywateli francuzkich, 22 włoskich, 11 angielskich, 7 tureckich, 5 perskich i 6 rumuńskich.

* **Lwów.** Emigracya włościan do Rosyi, która chwilowo ustała, wybuchła ponownie. Sprytni ajenci znaleźli widocznie znów posłuch u włościan, którzy nie pomni na rady i przestrogi księży i dworów emigrują do Rosyi z okręgów zaleszczyckiego i borszczowskiego, oraz z okręgu kocmańskiego na Bukowinie. Ponieważ na granicy galicyjskiéj stoi ze strony naszéj silna straż, która włościan nie przepuszcza za granicę, cała fala emigracyi obróciła się na Bukowinę, gdzie włościanie przechodzą przez stacye graniczne Zwanice i Onuth. Rząd bukowiński na wieść o téj tłumnéj emigracyi, wysłał natychmiast do obu tych stacyi silne posterunki żandarmeryi; wkrótce odejdzie tam piechota. Również patrole kawaleryi strzegą bez przerwy granic monarchii od Rosyi na przestrzeni od Dobronouć do Onuth. Zarządzenia te powstrzymały nieco silny prąd emigracyjny, ale nim doniesiono rządowi o emigracyi i nim on wysłał na granicę żandarmeryą i kawaleryą już mnóstwo ludzi przez Zwanice i Onuth przeszło do Rosyi. — Kozacy stacyonowani na granicy zachęcają lud nasz do emigracyi i ułatwiają mu w wszelki możliwy sposób przejście przez granicę. W skutek tego przychodzi często do zwad między nimi a naszymi żandarmami. W zeszłym tygodniu — jak opowiadają w Mielnicy — kozak rosyjski miał zastrzelić naszego żandarma. Wypadek ten miał się zdarzyć przy końcu ubiegłego tygodnia. Żandarm austryaki, pełniący służbę wzdłuż granicy nad Zbruczem w okolicy Germakówki, usiłował powstrzymać od przejścia przez granicę gromadkę włościan niezaopatrzonych w paszporty. Stojący zaś na stronie rosyjskiéj kozak zachęcał znów włościan do przejścia i do oporu rozkazom żandarma. Wskutek tego między kozakiem a żandarmem wywiązał się spór, który skończył się fatalnie: kozak strzelił i żandarm padł trupem na miejscu.

* **Kalendarz.** Jutro we wtorek 18 października św. Łukasza ewang.

Wschód słońca o godzinie 6 minut 31. Zachód o godzinie 4 minut 59.

* ***Oborniki.*** Wspaniała, niezapomniana uroczystość odbyła się dnia 3 bieżącego miesiąca w Objezierzu, powiecie obornickim. Dnia bowiem tego żegnała parafia swego uwielbionego i czcigodnego Pasterza, księdza dziekana Ludwika Ziętkiewicza, który przez lat przeszło 32 był Proboszczem i Dziekanem. Gdy więc zbliżyła się chwila rozstania, to smutek i żal wielki opanował serca parafian, których ksiądz dziekan Ziętkiewicz był prawdziwym opiekunem, pocieszycielem nieszczęśliwych wdów i sierót, stróżem wiernym swoich owieczek. Słynął on gorliwością w służbie Bożéj, pełniąc z poświęceniem i nadwerężeniem sił i zdrowia obowiązki pobożnego kapłana w całem znaczeniu tego wyrazu. To też była chwila pełna żalu i łez, kiedy ksiądz Dziekan w ostatnią niedzielę przed Mszą św. wygłosił słowo „Żegnam Was“. Dalszą jego mowę przerywały ponowne wybuchy płaczu zebranego ludu i Pasterza tak drogiego parafii!

Już od kilku tygodni garnęli się parafianie tłumnie do konfesyonału, aby raz jeszcze usłyszeć z ust drogiego kapłana słowa pełne pociechy. Ostatniéj zaś niedzieli lud tak licznie się zgromadził, że mała wiejska świątynia — przystrojona w piękne wieńce i festony — zgromadzonych pomieścić nie mogła. To było najlepszym dowodem, jak gorliwym, jak dobrym musiał być dla swych owieczek pasterzem, jak miłemi Mu były owieczki Jego opiece poruczone!

Większy jeszcze żal ogarnął wszystkich, kiedy dnia następnego zbliżyła się chwila rozstania. Już z świtaniem dnia tłumy ludu zaległy probostwo i świątynię, aby odebrać błogosławieństwo przez uwielbionego Pasterza. Po odprawionéj ostatniéj Mszy św. udał się ksiądz Dziekan z owieczkami swemi, które cisnęły się do ucałowania ręki, dla biednych zawsze tak hojnéj, na probostwo, gdzie po kilku mowach przez panów zebranych, żegnał Pasterz przed domem zebrany lud słowy serdecznemi i pełnemi żalu. Następnie w asystencyi księży i ludu udał się ksiądz Dziekan do kościoła, gdzie prowadzony pod baldachimem, nieutulony w żalu, po zaintonowaniu „Kto się w Opiekę“, stanął wraz z ludem przed krzyżem, — i tam w pięknych słowach przemówił i dziękował w imieniu dekanatu ksiądz Gitzler, i żegnając księdza Dziekana, prosił, przyklęknąwszy, dla siebie i parafii przyszłéj o błogosławieństwo, poczem pan G. z Obornik rzewnemi słowy, pan G. z M., również gospodarz W. w imieniu gospodarzy serdecznemi wyrazy dziękował i przepraszał z łzami szczeremi, jeżeli kiedy tak bardzo ukochanego Pasterza obrazili słowem, zapewniając, że nigdy z pamięci nie wygaśnie drogi im Pasterz.

Ze łzami żegnał Go lud, z których objęć zaledwie przedostać się mógł do pojazdu rozczulony ks. Dziekan. Następnie wpośród banderyi i niezliczonych pojazdów udał się na dworzec, gdzie głośnem „Niech żyje“ przy poruszeniu pociągu, pożegnał Go wierny Mu ludek.“

Ostatnie telegramy.

Nowy Orlean, 17 b. m. Podczas orkanu w dniu 10 b. m. rozbił się okręt Goelette-Stranger płynący z Hondoras do Balizei, trzynastu podróżnych, kapitan i trzech majtków utopiło się.

Telegram giełdowy.

Berlin, 17 października 1892 roku. (Kursa końcowe.)

Kurs z dnia	15	17
Pszenica spok.		
na paźdz.-listop.	154 25	154 50
na kwiecień-maj	159 75	160 10
Żyto stalej.		
na paźdz.-listop.	143	143 50
na kwiecień-maj	145 —	145 50
Oléj rzep. stalej.		
na październik	49 25	49 10
na kwiecien-maj	50 10	50 25
Okowita słabiej.		
eksportowa	34 90	34 70
na październik	34 90	33 90
na paźdz.-listop.	32 80	32 70
na listop.-grudz.	32 70	32 60
na kwiecień-maj	33 90	33 70
na maj-czerwiec	— —	— —
spożywcza	— —	54 30
Owies		
na paźdz.-listop.	144 75	144 50
Wypowiedziano:		
żyta węcpli	150	450
okowity kw. ekp.	130,000	130,000
„ „spoż.	,000	

	14	15
Niem. 3% poż. pań.	87 —	87 10
Consol. 4%	107 —	107 —
Consol. 3½%	100 70	100 60
Pozn. 4% l. zast.	101 75	101 70
Pozn. 3½% l. zas.	92 90	96 80
Pozn. listy rent.	102 90	102 90
Poznań. oblig.	95 40	95 40
Austr. banknoty	170 20	170 25
Austr. renta srbr.	81 90	82 —
Ros. banknoty	204 25	203 90
Ros. listy zastaw.	98 40	98 50
Pols. 5% lis. zas.	64 90	— —
Pols. likw. lis. zas.	62 75	62 75
Węg. 4% renta zł.	95 60	95 60
Węg. 5% „ pap.	85 50	85 50
Austr. kred. akcye	167 10	166 40
Lombardy	42 50	42 40
Disconto com.	186 10	185 50
Usposobienie:	słabo.	

Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ulica Wiktoryi nr. 26, otwarte w dni powszednie od 9 zrana do 1 w południe, w niedziele zaś od 12 do 5 po południu.

Wiadomości literackie i artystyczne.

* **Tygodnika Powieści** wyszedł nr. 3 i zawiera: Wdowa po kasyerze, powieść przez autora rodziny Lanquierów i odźwiernéj z Affortville, przekład z francuskiego (ciąg dalszy). — Biała Róża, powieść przez Maurycego Jokaja, przekład z węgierskiego (ciąg dalszy). — Ze wspomnień lekarza, powieść przez Juliusza Lermine'a, przekład z francuskiego (ciąg dalszy).

Przybyli do Poznania.

Poznań, 16 października.

BAZAR. Hrabianka Żółtowska z Ujazdu, dr. Komierowski z Nieżuchowa, Gajewski z Turzna, dr. Warmiński z Bydgoszczy, Korycki z Królestwa Polskiego.

LUZIŃSKIEGO HOTEL FRANCUZKI. Skrzydlewski z Mechlina, Trąmpczyński z Biernatek, ks. kanonik Różycki z Mnichowa w Bawaryi, dr. Górski z Mieściska, Kolski z Wojnowa, Chrzanowski z Ostrowa, Rosenthal z Berlina, Mayer z Frankfurtu.

(Nadesłano.)

FABRYKA
papierosów i tureckich tytuni
(1093) **„VULKAN“**
I. F. J. KOMENDZINSKI W DRESZNIE,
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych od tego nych handlach są do nabycia. **Ceny nader umiarkowane.**

Rozkład jazdy na kolejach żelaznych

ważny od 1. października 1892 roku.

Odchodzą.	*Przychodzą.*
Poznań-Krzyż.	
6,48 rano.	4,43 rano.
10,35 przed poł.	7,40 rano.
12,50 w poł.	10,09 przed poł.
(do Rokietnicy).	(z Rokietnicy.)
2,30 po poł.	3,13 po poł.
3,21 po poł.	6,18 wiecz.
4,59 po poł.	(z Rokietnicy).
7,16 wiecz.	6,46 wiecz.
(do Rokietnicy)	7,55 wiecz.
8,20 wiecz.	1,20 w nocy.
12,36 w nocy.	
Poznań-Bydgoszcz-Toruń.	
4,48 rano.	8,10 rano
6,48 rano.	(z Gniezna).
10,36 rano.	10,19 przed poł.
3,29 po poł.	3,15 po poł.
7,15 wiecz.	6,54 wiecz.
10,40 w nocy.	11,00 w nocy.
(do Gniezna).	1,32 w nocy.
Poznań-Piła.	
4,46 rano.	7,24 rano.
10,47 przed poł.	1,58 po poł.
4,48 po poł.	6,48 wiecz.
Poznań-Wrocław.	
4,54 rano.	4,09 rano.
10,29 przed poł.	8,20 rano.
3,45 po poł.	(z Leszna).
7,02 wiecz.	10,21 przed poł
8,25 wiecz.	2,20 po poł.
(do Leszna).	5,47 po poł.
1,40 rano.	12,14 w nocy.
Poznań-Berlin-Guben.	
1,42 w nocy.	4,30 rano.
4,57 rano.	8,58 rano.
10,34 przed poł.	2,37 po poł.
4,24 po poł.	5,44 po poł.
7.25 wiecz.	11,55 w nocy.
Poznań-Kluczbork.	
6,50 rano.	8,35 rano.
10,40 przed poł.	2,03 po poł.
2,51 po poł.	6,19 wiecz.
8,06 wiecz.	11,38 w nocy.
Poznań-Strzałkowo.	
5,02 rano.	9,05 rano.
12,16 przed poł.	3,34 po poł.
5.53 po poł.	9.40 wiecz.

Gospodarstwo, handel i przemysł.

(K) **Poznań,** 17 października. (Sprawozdanie giełdowe). Stan powietrza: deszcz.

Okowita: niżéj.

Cena wypowiedz. —,—. Wypowiedziano —,— w miejscu (bez beczki) tow. opodat. 50-ta 52,30, 70-ta 32,80 m., październik 50-ta —,—, 70-ta —,— m., maj 50-ta —,— m., 70-ta —,— m.

(Sprawozdanie urzędowe).

Okowita (z beczką) za 100 litr. 10,000 % Tralles. Wypowiedziano —,— litrów. Cena wypowiedziana —,— mrk. w miejscu bez beczki 50-ta 52,40 m., 70-ta 32,90 m., kwiecień 50-ta —,— m., 70-ta—,— mrk.

Ceny targowe w Poznaniu

d. 17 października 1892.

		TOWAR piękny		średni		pośledni	
Pszenica	100 kilog.	15 40		15 —		14 40	— —
„	-	— —		— —		— —	— —
Żyto	-	13 20		12 90		12 70	— —
Jęczmień	-	16 —		13 50		13 —	— —
Owies nowy	-	14 20		13 80		— —	— —
Groch wrzący	-	— —		— —		— —	— —
„ na paszę	-	— —		— —		— —	— —
Kartofle	-	3 20		2 80		— —	— —
Wyka	-	— —		— —		— —	— —
Rzepik	-	— —		— —		— —	— —
Łubin żółty	-	— —		— —		— —	— —
„ niebieski	-	— —		— —		— —	— —

Urzędowe sprawozdanie targowe

komisyi targowéj w mieście Poznaniu

Poznań, dnia 17 października 1892.

Przedmiot.		TOWAR dobry		średni		pośl.		w przecięciu	
		Mk.	₰	Mk.	₰	Mk.	₰	Mk.	₰
Pszenica	cena najwyższa 100 klg.	15	20	14	80	14	40	14	67
	„ najniższa -	15	—	14	60	14	—		
Żyto	cena najwyższa -	13	50	13	20	12	80	13	07
	„ najniższa -	13	30	13	—	12	60		
Jęczmień	cena najwyższa -	14	—	13	40	13	—	13	37
	„ najniższa -	13	80	13	20	12	80		
Owies	cena najwyższa -	15	—	14	60	14	20	14	50
	„ najnisza -	14	80	14	40	14	—		

		Inne artykuły najw. Mk.	₰	najniż. Mk.	₰	w przec Mk.	₰
Słoma	prosta za 100 kl.	5	—	4	50	4	75
	targana -	—	—	—	—	—	—
Siano	-	6	—	5	—	5	50
Groch	-	—	—	—	—	—	—
Soczewica	-	—	—	—	—	—	—
Fasola	-	—	—	—	—	—	—
Kartofle	-	4	—	3	—	3	50
Wołowina	od kulki za 1 kl.	1	40	1	30	1	35
	od brzuchu -	1	30	1	20	1	25
Wieprzowina	-	1	40	1	30	1	35
Cielęcina	-	1	40	1	30	1	35
Skopowina	-	1	30	1	20	1	25
Słonina	-	1	80	1	70	1	75
Masło	-	2	60	2	20	2	40
Jaja	za kopę	3	80	3	20	3	25

Spostrzeżenia meteorologiczne w Poznaniu

w październiku.

Data i godzina.	Barometr.	Wiatr.	Stan powietrza.	Temp.. w. Cel
16. Po połud. 2	747,8	PłdZ. orzeźw.	pół pogod.	+12,3
16. Wiecz. 9	746,3	PłdZ. umiar.	pogodnie	+ 7,7
17. Rano 7	745,4	PłdW. lekki	zachm.	+ 4,9

Dnia 16 października maximum ciepła + 12,7° Cel.
„ 16 „ minimum „ + 6,5° „

Biuro Towarzystwa Czytelni Ludowych, dr. St. Jerzykowski, Podgórna ulica nr. 2b.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Wiktoryi ulica nr. 26.

Dnia 15-go t. m. o godzinie 2-giéj po południu zakończyła żywot doczesny na paraliż serca w 70-tym roku życia, nasza droga matka, babka i prababka

Ludwika z Dohrogoyskich

Prądzyńska.

Eksportacya i pogrzeb na cmentarz Śto-Marciński odbędzie się w środę dnia 19 t. m. o godz. 4½ po południu z domu żałoby ul. Lipowa Nr. 9. Nabożeństwo żałobne w kościele śgo Marcina na zajutrz o godzinie 9½. O czem krewnym i znajomym donoszą w smutku pogrążeni (585)

syn, córki, zięciowie, wnuki i prawnuki.

Aufgebot.

Auf den Antrag der nachbenannten Grundstückseigenthümer werden aufgeboten: (583)

a, auf den Antrag des **Stanislaus Oflerski** die im Grundbuch von Posen Vorstadt Wallischei Blatt 76 (übertragen von Blatt 75) in Abth. III. unter Nr. 16 eingetragene Post von „1333 Thalern 8 Groschen oder 8000 Floren polnisch als ein dem **Johann Brzyzowski** mit 5% järlich zu verzinsendes Darlehn ex consensu der **Wiemann**'schen Eheleute vom 23. November 1798“

b, pp.

c, auf den Antrag des Kaufmanns **Ephraim Danziger** in Posen vertreten durch den Rechts-Anwalt **Placzek** in Posen, die im Grundbuch von Posen Altstadt auf Blatt 47 in Abth. III. eingetragenen Posten folgenden Inhalts Nr. 4

11 Thaler 28 ggr. oder 71 Floren 23 ggr. polnisch für die sogenannte **Suralkowski**'sche Stiftung a 3½ Prozent jährlichen Zinsen, welche Besitzer unterm 16. November 1797 selbst zum Protokoll angegeben und in deren Eintragung er gewilligt hat. Eingetragen ex deco vom 31. März 1798.

Nr. 8. 666 Thaler 16 Groschen in grobem Courant worüber der Eigenthümer **Josef von Blaikowski** unterm 2. August 1799 eine Schuldverschreibung ausgestellt, darin versprochen hat das Kapital nach einer vorgängigen halbjährigen Aufkündigung zurückzuzahlen, und statt der Verzinsung dem Gläubiger im ersten Stockwerk die Bewohnung einer Stube und Alkoven, einer Mittelstube, Küche und eines Abtritts nebst Stall und Ort zu einem Wagen überlassen hat, für den ehemaligen polnischen Rittmeister **Josef von Grodzicki.** Intabulirt auf das Gesuch Debitoris vom 16. August 1799 ad mandatum vom 24. August 1799.

Alle diese Posten sind angeblich getilgt und sollen gelöscht werden. Die eingetragenen Gläubiger bezw. Rechtsnachfolger werden aufgefordert, ihre Ansprüche und Rechte auf die Posten spätestens im Aufgebotstermine

den 3. März 1893 Vormittags 12 Uhr

bei dem unterzeichneten Gericht, Sapiehaplatz Nr. 9 Zimmer Nr. 8 anzumelden, widrigenfalls sie mit ihren Ansprüchen auf die Posten werden ausgeschlossen und die Posten im Grundbuche werden gelöscht werden.

Posen, den 10. October 1892.

Königliches Amtsgericht
Abtheilung IV.

Na zbliżający się czas adwentowy!
Swieżo wyszły z druku
Kazania i przemowy
pasterskie
do ludu wiejskiego. Tom I obejmujący czas 1-éj Niedzieli Adwentu do Środy popielcowéj
zebrał **ks. Karol Fischer.**
Cena egzemplarza z przesyłką pocztową Mk. 5. (556)
Skład główny w **księgarni L. Zwolińskiego i Spółki** w **Krakowie,** ul. Grodzka l. 40.

Prawdziwy astrachański
kawior
szary i gruboziarnisty, gatunek uznany za **najlepszy** wysyła funt brutto incl. puszki za M. 5,50, funt netto excl. puszki M. 6,50.
B. Persicaner w Mysłowicach
Skład ruskich papierosów, herbaty i kawioru. (537)

Służący
pierwszorzędny, w sile wieku, z dobremi świadectwami i poleceniami, szuka miejsca od każdego czasu. — Łask. oferty przyjmie **Ekspedycya Kuryera Pozn.** sub **J. N. 559.**

Na Miesiąc Październik.
Różaniec do Najśw. Maryi Panny
oraz **Droga krzyżowa.**
Str. 48. Cena za egzempl. 10 fen. z przesyłką 15 fen., 50 egzempl. 4 m. 100 egzempl. 7,50 m. z przesyłką.
Godzinki
o Niepokal. Poczęciu Najśw. Maryi Panny.
str. 30. Cena za egzempl. 10 fen. z przesyłką 15 fen., 50 egzempl. 4 m. 100 egzempl. 7,50 m. Poleca i odwrotną pocztą wysyła
Drukarnia Kuryera Poznańskiego,
Poznań, Ś-ty Marcin nr. 16/17.

DRENY
w wszystkich rozmiarach ma w zapasie (579)
Cegielnia parowa Obrzyca (Rataje).
Wilhelm Kantorowicz w Poznaniu, ul. Berlińska nr. 16.

Wielki wybór wszelkich **sprzętów kuchennych** i **domowo-gospodarczych** poleca w towarze li tylko **najlepszego** wyrobu po cenach możliwie **najniższych** (567)
T. Otmianowski
(B. Ziętkiewicz i S. Mińcikiewicz)
w Bazarze Nowa ulica 7|8.

Magazyn
bławatów, płócien, bielizny, stołowizny, dywanów
pod firmą
F. Raczkowski,
ulica Nowa w Bazarze
poleca **na porę jesienną i zimową**
wszelkie nowości
tak w wełnie jak i jedwabiach.
Ceny możliwie najtańsze.
Próby wysyłam na żądanie.
Szwalnia moja przyjmuje do roboty **suknie i wierzchy na futra** tak z swego jak i z obcego materyału.
Krój dogodny. (433)

Towarzystwo
narodowe hipoteczne kredytowe
w Szczecinie
udziela pożyczek na posiadłości miejskie na pierwsze miejsce a na wiejskie i po landszafcie. (122)
Wnioski przyjmuje agent generalny:
Julian Reichstein
w Poznaniu, **Piekary 5.**

Kapelusze
w najmodniejszych fasonach i kolorach. (570)
CZAPKI
maciejówki, barankowe, tyflowe, pilśniowe itd. poleca w znacznym wyborze po bardzo umiarkowanych cenach.
C. Adamski,
Poznań, Bazar.
Fabryka czapek i rękawiczek założona w roku 1854.

Wielebn. Duchowieństwu
polecam wielki i urozmaicony wybór sprzętów kościelnych jako to: **Monstracye w różnych stylach, puszki do komunikantów i hostyi, kielichy z patenami, naczynia do Olejów św., pateny do chorych, ampułki, kropidła, kociełki do wody święconéj, nowego systemu lawatarze i naczynia do Chrztu, łódki do kadzidła, krzyże różnéj wielkości na ołtarze i do procesyi, kierce, lampy kościelne (wieczne) i przed obrazy, kandelabry, dzwonki harmonijne, żelaza do wypiekania hostyi i wykrywacze do tychże** i t. d. Szczególną nadto uwagę zwracam na **górą umieszczony rysunek bardzo pięknych i praktycznych trybularzy z ulepszonym kociełkiem, które pomimo największego rozpalenia węgli nie podlegają tak prędkiemu zużyszczeniu, jak trybularze dawnego systemu.** Stare trybularze przyjmuje **do przerobienia kociełka** na sposób ulepszony, wszelkie inne reperacye, posrebrzanie i odnawianie starych sprzętów kościelnych wykonuje w czasie najkrótszym po cenach przystępnych. (150)
J. Stark w Poznaniu
specyalny skład wyrobów z alfenidy i sprzętów kościelnych.
Wilhelmowska ulica 21.

Kapelusze filcowe
dla pań, panienek i dzieci, ubrane i nieubrane, poleca w wielkim wyborze i po cenach nader przystępnych (544)
A. F. Modrzyński
Poznań, Jezuicka ul. 12.

Ogrodnik
kawaler, liczący 30 lat, z kilkoletnią praktyką w kraju i za granicą, obeznany dokładnie z wszelką gałęzią ogrodnictwa, szuka posady zaraz lub od stycznia. Łaskawe oferty proszę nadsyłać pod literą **K. Bazar Poznański.** (558)

Wolontaryusz
znajdzie miejsce w **Banku Związku Spółek Zarobkowych.** (557)

Za nasze wyroby dajemy wszelką gwarancyą.
Bazar mebli „Alma.“
Polecamy tak jak dotychczas, **meble** wszelkiego rodzaju **od skromnych do wykwintnych,** całkowite wyprawy i pojedyńcze przedmioty po cenach **najniższych.** We własnéj **stolarni** wykonujemy **rzetelnie i tanio** zamówione przedmioty, jako też **wszelkie reperacye** mebli.
Kupującym na **odpłatę** robimy wszelkie możliwe ustępstwa w odpłacaniu ratami. (575)
Z wysokim szacunkiem
Bazar mebli „Alma“
Dankowski & Krajewicz.
Poznań, w październiku, Podgórna ul. nr. 7.

Wyłączne zastępstwo źródeł Iwonicz.
Wody mineralne
Nalew 1892.
Bilin, Ems, Iwonicz, Karlsbad, Kissingen, Marienbad, Soden, Wildungen, Wody gorzkie węgierskie i t. d. odebraliśmy wprost z źródeł w ładunkach wagonowych i polecamy po cenach nader umiarkowanych. (1763)
Sole i ługi do kąpieli.
Pp. Aptekarzom i kupującym do dalszéj sprzedaży udzielamy odpowiedniego rabatu.
Jasiński i Ołyński,
Główny skład wód mineralnych
i fabryka wody selterskiéj.
Poznań, Śty Marcin 62.
Skład II, Wrocławska ulica nr. 30.
Wyłączne zastępstwo źródeł w Krynicy.

Marcelina Sembrich
Karol Gregorowicz.
Koncert na sali Lamberta
w piątek **28** października
(582) o godzinie 7½ wieczorem.
Bilety po **5** i **2 M.** u pp. **Ed. Bote & G. Bock.**

Dodatek.

Dodatek do Kuryera Poznańskiego Nr. 239.
Wtorek 18 Października 1892.

NAJMŁODSI.

(123) POWIEŚĆ
przez
Adama Krechowieckiego.

Część druga.

(Dokończenie. — Zobacz numer 238.)

Pokój, w którym leżał Borski, słabo był oświetlony jedną lampą, stojącą na dużym stole. Dokoła panował nieład, jaki zwykle bywa cechą mieszkań, nad któremi śmierć rozpostarła swe skrzydło. Meble poprzysuwane do ściany, niepotrzebne już nikomu, a na pierwszym planie wielkie łóżko, osłonięte kotarą. W powietrzu woń eteru i kamfory.

Sipajłło wstrzymał się w progu i badawczo spojrzał na łóżko, na którém zaledwie dostrzedz było można małą, skuloną postać starca. Obok, przy łóżku, klęczała wysoka, chuda postać niewieścia, w szarym habicie i białym, płóciennym z szerokiemi kresami czepcu na głowie.

— Zkąd się ta Siostra Miłosierdzia tu wzięła? — pomyślał Jerzy. Czyżby Borski już umarł? Gdzie Tomasz?

Przystąpił szybko do łoża.

Ciało starca chwilowo konwulsyjnie drgało. Więc żył jeszcze. Sipajłło zwrócił się szybko ku zakonnicy, która powstawszy z klęczek, z głową spuszczoną i złożonemi na piersiach rękami stała pokornie, czekając rozkazów.

— Gdzie Tomasz? — spytał Jerzy mimowolnie półgłosem. Lecz w tejże chwili wzrok jego padł na twarz zakonnicy i pełen zdumienia oderwać się od niéj nie mógł.

Sipajłło cofnął się, jak gdyby widmo zobaczył.

— Panna Aniela! — zawołał — co pani tu robisz?

— Służę Bogu i cierpiącym — odrzekła spokojnie zakonnica — przybyło nas tu teraz wiele.

Przypomniał sobie Jerzy w téj chwili, co mu Zygmunt mówił, że widział z daleka brata Anieli, księdza Stanisława. Nie miał wszakże czasu o nic więcéj pytać zakonnicy, bo chory głośno jęczeć zaczął.

Sipajłło pochylił się nad nim. Przyłożył rękę do serca, chwycił za puls. Puls był gorączkowy, nierówny, tętno serca słabło, za chwilę mogło ustać.

— A, życie ludzkie! — pomyślał Jerzy — trzymam dłoń na jego potędze, wiem co znaczy, pajęczyna! Jam w téj chwili silniejszy, bo mogę je zniszczyć lub sztucznie podniecić.

Szybko przystąpił do stołu, wyjął małą, ciemną flaszeczkę z zanadrza i począł ostrożnie wlewać krople do kieliszka, w którym na spodzie było trochę wody.

— Wahać się trudno — myślał. — Te krople to kombinacya tak morderczych trucizn, że zabiłyby najsilniejszego człowieka. Ale tego trupa, w którym ostatnia iskra życia już gaśnie, zgalwanizują tak, że wkrótce będzie prawie silny, z umysłem rozstrojonym, lecz mającym tyle przytomności, bym z niego potrafił wydobyć to, co mi potrzeba. Tem lekarstwem zabijam go stanowczo, wracam mu przytomność na to, aby żywiéj płonęła na jednę chwilę. A potém? Co mię obchodzi co będzie potém? Umarłby zawsze. Dam mu dozę silniejszą, nie ma czasu do stracenia. Wkrótce będzie się zrywał, bełkotał i wybełkocze wszystko, co mu cięży na duszy.

Dusza! Ten wyraz, który mu na myśl przyszedł, wykrzywił jego usta szyderskim uśmiechem.

Co za głupie pojęcie! Alboż ma duszę Marietta? duszę nieśmiertelną, któraby miała pamięć wieczystą doznanéj krzywdy za życia na ziemi, któraby o tę krzywdę upominała się tam we wieczności? Czy ma duszę Zygmunt i wspólniczka jego występku Irena? albo ta Ola, upojona swoim tryumfem, odpychająca ze wzgardą człowieka, który się tarzał przed nią na klęczkach, zgnębiony nieszczęściem? Czyż może mieć duszę ten cały świat go otaczający, to wielkie mrowisko ludzkie, ulegające bezwiednie ślepéj, nieświadomej, a niszczącéj sile? Czyż podobna, aby miał duszę trup ten, leżący przed nim, bez czucia, bez myśli, bez woli. Cóż się dzieje w téj chwili z jego nieśmiertelną duszą? Przestała istnieć, bo przestała czuć i myśleć, bo znieczulone nerwy nie udzielają już wrażeń mózgowéj materyi. Zacznie znów istnieć, gdy on temi nerwami wstrząśnie, gdy niemi zatarga potęgą swéj wiedzy i woli.

Odliczył krople i zmięszał we wodzie. Krople rozpływały się smugami; miały odcień błękitnawy.

— Byle nie za dużo — pomyślał Jerzy. — Ale po co ta zakonnica tutaj?

Zbliżył się do łoża chorego, który leżał bez czucia, nieprzytomny. Konwulsyjne drgania poruszały ciągle wychudłem ciałem.

Sipajłło usiadł na łóżku i w lewéj ręce trzymając kieliszek, prawą podsunął pod plecy chorego, chcąc go dźwignąć.

— Gdzie Tomasz? — spytał powtórnie, ostro zakonnicy.

Aniela podniosła pochyloną głowę.

— Pytasz pan zapewne — rzekła — o starego sługę, który tu był przy chorym. Przybiegł do klasztoru, żądając pomocy; zdawało mu się, że pan Borski kona, a pana nigdzie odszukać nie mógł. Wysłano mnie tutaj do posługi, on zaś pojechał po żonę.

— A! — mruknął Jerzy, poruszając się niecierpliwie — zupełnie niepotrzebne wzruszenie dla chorego.

Mówiąc to, dźwigał bezwładne ciało; palcami usiłował roztworzyć zaciśnięte wargi, aby wlać płyn z kieliszka.

Chory krztusił się, charczał, ale przełknął. Otworzył oczy i błędny wzrok utkwił w Sipajłłę. Konwulsyjnie ściskał go za rękę, a drżącemi usty wyszeptał:

— Si...pajłło! Si...pajłło!

Poznał go. O nim jednym pamiętał, bo od niego tylko ratunku się spodziewał.

Jerzy gwałtownie wyrwał swą rękę. Postanowił działać energicznie, aby obudzić gasnącą przytomność. Całą siłą szarpnął starca za ramię; dźwignął go niemal z pościeli.

— Panie Borski! — krzyknął z całéj mocy — przynoszę panu nowinę. Osoba, któréj pan lat tyle szukałeś, jest tutaj.

Chory otworzył szeroko nieprzytomne oczy. Kurcz nerwowy wykrzywiał mu dziwacznie twarz wychudłą. Bezzębne szczęki obijały się jedna o drugą, wydając dziwny łoskot.

— Nowina... nowina! — powtórzył — wiem, jaka nowina.

Lekarstwo widocznie działało. Silny dreszcz wstrząsnął wychudłém ciałem, gorączka się wzmagała, ale w miarę tego przybywało sił.

Dźwignął się nagle o własnéj mocy i ramiona wyprężył.

— Ha! ha! — zaśmiał się. — Piękna nowina! Czarnoszyński... marszałek podpisał wyrok! Jestem silny. Nie mam w duszy ich uczuć, nie podzielam myśli, nie potrzeba mi ich honoru! Zdławię ich gdy mi się podoba, bo mam siłę za sobą. Siłę i pieniądze; co mi zrobią?

Rozpłomienionym gorączkowo wzrokiem dokoła rzucał; rękami wymachiwał w powietrzu, jakby tłoczące się ku niemu zmory chciał odegnać.

Nagle głowę pochylił na piersi i mówił daléj głosem cichym:

— Napiętnowali mię... i słusznie! Słusznie, sprawiedliwie, bom ja ich wrogiem był, na ich głowy ściągałem nieszczęścia, gromy, gnębiłem! Zdawało mi się, żem silny, że mi nie potrzeba nic. Tymczasem...

Chwilę milczał, a potem nagle, porywając się uchwycił Jerzego za rękę.

— Mieczysław... — wyszeptał — Mieczysław oprzytomniał?

Jerzy słuchał z wytężoną uwagą, ale odpowiedzi nie dał. Wiedział wszakże, iż Mieczysław, to był syn Borskiego, od lat wielu obłąkany.

Borski też odpowiedzi nie czekał i po chwili mówił daléj urywanym tonem:

— Zemścili się, syna mi zabrali! Wyrzekł się mnie, on, jedyna moja na świecie nadzieja. I ja go znać nie chcę, odkąd ożenił się z chłopką, córką Michała Soroki z Koziatyna... Oni go na złość tak ożenili... podli!

Zamilkł znowu, oczy zawarł i na poduszki opadł.

Zdawało się, że już nie powie nic, że kona.

Jerzy nie mógł teraz pozwolić mu umrzeć. Brakowało mu jeszcze słów kilku do zrozumienia całéj tajemnicy, do stwierdzenia swoich przypuszczeń.

Powstał szybko i znowu kilka kropel odliczył do kieliszka.

Usiadł na łóżku i dźwigając bezwładne ciało, wlał płyn w usta Borskiego. Słychać było, jak płyn ten z głuchym odgłosem przechodził przez gardło i krtań, ale przeszedł.

Zakonnica zbliżyła się do Sipajłły.

— Panie, — rzekła — po co go tak dręczyć, on kona.

Jerzy z wściekłością na nią spojrzał.

— Wiem, co czynię! — krzyknął.

Siostra Aniela cofnęła się.

Za chwilę chory oczy otworzył, błyszczące gorączkowo.

— Tomaszu! — krzyknął. — Niema co się wahać. Innéj rady niema. Zabierz tę Marynę, razem z jéj córką, ha! ha! wnuczką moją, i wywieź na kraj świata, do Warwarówki. Tam jest stary Semen, dawny mój parobek... złodziéj, podpalacz. Zapłać mu, co zechce, ale niech je obie trzyma, i nie puszcza! rozumiesz?

Odetchnął głęboko.

— Udało się! — mówił daléj — udało się! Co mi zrobią? Maryna z dzieckiem zniknęła, kto ją znajdzie? A Mieczysław powróci teraz do mnie, do ojca...

Gwałtowny, konwulsyjny dreszcz wstrząsnął ciałem starca od stóp do głowy. Jerzy schwycił go w objęcia.

— Boże, Boże! — zajęczał chory po chwili. — Ileż to lat udręczeń! ile lat tęsknoty, wszystko napróżno.

— Mieczysław nie wrócił? — spytał Sipajłło.

— Ha! ha! — zaśmiał się chrypliwie Borski. — Wrócił! Rękę na mnie podniósł, na ojca swego... i zwaryował. Żądał, abym mu oddał żonę i córkę, i odtąd ciągle ich się spodziewa, ciągle wygląda, a mnie widzieć nie chce... Przeszukałem świat cały, ślad zniknął. Semen zdechł, Maryna zabrała dziecko i poszła z Warwarówki, zginęła.

Zaczął się miotać gorączkowo.

— Tomaszu! — krzyknął nagle — jedź, szukaj, z pod ziemi wydostań... wynagrodzę wszystko. byleby syna ocalić! Lekarz powiedział: odzyskać może zmysły, jeśli ci wrócą do niego, których wygląda, do których tęskni... Jedź, Tomaszu, szukaj!

Zdyszany mówić daléj nie mógł. Głowa bezwładnie zwisła mu na ramię.

Jerzy badał tętno serca. Było bardzo gwałtowne, nieregularne, a chwilami ustawało zupełnie.

Nachylił się choremu do ucha.

— Panie Borski! — krzyknął — za chwilę ja panu wnuczkę przywiozę, ona jest tutaj!

Borski szeroko otworzył oczy.

— Nieprawda! — zacharczał — nieprawda! Niema jéj na świecie. Sądziłem, że Czarnoszyńscy wiedzą, chciałem ich przebłagać, czyniłem dla nich, co mógłem, obiecałem ratunek i byłbym wydźwignął... błagałem! Odepchnęli... marszałek odepchnął ha! ha!

Głos przeszedł w śmiech konwulsyjny i z głuchym chrzęstem ścichł w zdyszanéj piersi.

Sipajłło powstał. Był pewny teraz, że się nie myli w swoich przypuszczeniach: Ola, córka Maryny, była niezawodnie wnuczką Borskiego, któréj on tak dawno napróżno szukał. Trzeba było teraz natychmiast jechać do Oli i przywieźć ją, zanim Borski oczy zamknie na zawsze.

Spojrzał na zegarek. Była godzina dziesiąta wieczór.

— Pani — rzekł zwracając się do siostry Anieli — ja teraz jechać muszę. Najdaléj za godzinę będę z powrotem. Gdyby Tomasz wrócił, proszę mu powiedzieć, aby był spokojny i czekał tu na mnie. Chory teraz spać będzie. Niech go nie budzą i nie narażają na żadne wzruszenia.

To mówiąc wyszedł szybko. W ciemnym korytarzu potrącił go spieszący się, zdyszany Tomasz. Stary sługa schwycił go za ramię

— A, jesteś pan nareszcie! — zawołał — czy umarł już?

— Żyje — odparł Jerzy — ale puść mię! — krzyknął, szamocąc się.

— Nie puszczę! — mówił stłumionym głosem Tomasz. — Teraz to chyba na prawdę już koniec, a on błaga, zaklina, abyś pan był przy nim. Miéj litość!

W głosie Tomasza brzmiało rozczulenie nie zwykłe.

— Niech go pan nie opuszcza! — prosił. — Pan mu będzie teraz w ostatniéj chwili bardzo potrzebny. Niebawem przybędzie tu żona, a może syn i...

— Puść mię! — krzyknął Jerzy, nie dając mu dokończyć i odepchnął go brutalnie.

— Jedź na złamanie karku, podła duszo! — mruknął Tomasz.

A Sipajłło wybiegł na ulicę, wsiadł do dorożki i popędził do mieszkania Oli.

W oknach ciemno; firanki szczelnie zapuszczone. Odźwierny na zapytanie oświadczył, że ta pani wyjechała z hr. de Larjeac i nie wróciła.

Co to mogło znaczyć?

Odźwierny mówił prawdę. Po owéj nocy, spędzonej bezsennie, Ola przyszedłszy do siebie, napisała do hr. Jakóba, prosząc go, aby niezwłocznie do niéj przybył.

Nie chciała jechać sama do pani Stefanii w obawie, aby się nie spotkać z Ireną.

O południu hr. Jakób stawił się na zawołanie i w krótkich słowach potwierdził to wszystko, co podały dzienniki. Co do Zygmunta miał nie dobre przeczucia.

— Obawiamy się — mówił — katastrofy. Wiemy teraz wszystko. Irena nie tai nic. Nieszczęśliwa kobieta.

— Ale jego, Zygmunta ratować trzeba! — zawołała Ola.

Hrabia Jakób patrzył na nią rozmiłowanym wzrokiem.

— Dla niego — rzekł, jak zwykle w urywanych wyrazach — dla niego nie zrobiłbym nic, mam głęboki żal. Dla pani, powiedziałem już, uczynię wszystko, rozkazuj, szukać będę.

Dwa dni trwały poszukiwania daremne. Ola ręce łamała w rozpaczy. Trzeciego dnia Jakób przyniósł wiadomość fatalną.

Z prefektury policyi dano mu znać, że nazajutrz po śmierci księcia de Sarthes, znaleziono niedaleko Charenton, w lesie Vincennes omdlałego człowieka, którego rysopis odpowiadał mniéj więcej postaci Zygmunta. Człowieka tego ocucono wprawdzie, ale do zmysłów nie przyprowadzono; zdawał się być obłąkanym. Oddano go więc do miejscowego zakładu.

— Jedźmy do Charenton! jedźmy natychmiast! — zawołała Ola.

Hrabia Jakób ani myślał się sprzeciwiać. Pojechali.

Przybyli tam nad wieczorem. Dzięki stosunkom swoim i znanemu nazwisku. hr. de Larjeac uzyskał niezwłocznie pozwolenie wstępu do zakładu, który zwykle dla publiczności jest zamknięty. — Zresztą powód był ważny; chodziło o stwierdzenie, kto był ów obłąkany, znaleziony w omdleniu, w lesie.

Z sercem ściśniętem nieopisaną trwogą weszła Ola do Sali słabo oświetlonej. W kącie, zasunięty w głąb fotelu, siedział ów nieszczęśliwy z głową opuszczoną na piersi, skulony.

— Nie mówi nic, jest bez czucia — tłomaczył dyrektor zakładu, towarzyszący gościom.

Ola lękała się spojrzeć, lękała się poznać. Czuła, że serce by jéj pękło, gdyby nagle zobaczyła obłąkanym, bez pamięci, tego, którego promienny obraz w młodzieńczéj urodzie, a potem w pełni rozwoju męskiego wieku i umysłu, miała w duszy wyryty. Lękała się, a zarazem pragnęła odnaleźć, pragnęła, aby się raz skończył ten niepokój, jaki ją od trzech dni dręczył niemiłosiernie.

Oparła się o ścianę i zwolna otwierała przymknięte oczy.

To nie był on, nie był Zygmunt!

— Wyjdźmy ztąd, wyjdźmy! — szepnęła Ola do hrabiego Jakóba, chwytając go za ramię i opierając się na niem silnie, bliska omdlenia.

Wyszli na korytarz długi, wązki. W téj chwili wracali z dozórcami z przechadzki stali, a spokojniejsi mieszkańcy zakładu i ciekawemi oczyma spoglądali na obcych.

Dyrektor, idąc obok hr. Jakóba, dawał mu uprzejme objaśnienia.

— To są — mówił — najlepsi nasi lokatorowie. Z niemi nie mamy kłopotu, a przynajmniéj bardzo rzadko, chociaż po największéj części są to chorzy nieuleczalni. Oto na przykład ten.

To mówiąc, wskazał na niemłodego już mężczyznę, który w głębi korytarza zatrzymał się przy oknie i patrzył w przestrzeń smutnemi oczyma.

— Szczególny człowiek! — ciągnął dyrektor. — O wszystkiem najrozsądniéj rozmawia, ale ciągle jest smutny, roztęskniony i na jednym punkcie przekonać się nie da. O tem, co było lat temu kilkadziesiąt, mówi tak, jakby to było wczoraj. Ciągle wygląda żony swojéj, którą przed laty przemocą mu porwano. Godzinami tak stoi przy oknie i czeka. Ona wróci! powiada z ufnością. Jest to ofiara familijnego dramatu.

— Jak się nazywa? — spytał z roztargnieniem hr. Jakób.

— Jest to Polak — odrzekł dyrektor. — Matka jego mieszka niedaleko zakładu; ma zawsze nadzieję, że syn przyjdzie do zmysłów. Nadzieja słaba, chyba, gdyby odzyskał utraconą żonę, a to przecież po tylu latach nieprawdopodobne. Nazywa się Borski.

Jakby na brzmienie swego nazwiska, wymienionego dość głośno, obłąkany odwrócił się nagle od okna i znalazł się o dwa kroki naprzeciw Oli.

Spojrzał, cofnął się i ramiona otworzył.

— Nareszcie! — krzyknął — nareszcie przyszłaś, wróciłaś!

Gwałtownym ruchem skoczył i chciał Olę chwycić w objęcia.

Na krzyk przerażonéj Oli, zbiegli się dozórcy. Sam dyrektor pospieszył ku obłąkanemu. Schwycono go za ręce, krępowano. On się miotał, wrzeszczał, pienił się.

— Puśćcie mię! — powtarzał — to ona, ukochana moja!

— Maryno — szeptał — Maryno!

Bez tchu w piersi, osłupiałemi oczyma patrzała Ola na tę postać, szamocącą się w daremnych wysiłkach. Patrzyła na rysy wymizerniałe, blade, napiętnowane wyrazem dzikiéj rozpaczy. Oczy miała zapadłe, usta sine. Włosy krótko przystrzyżone były zupełnie białe.

I nagle zdjęła ją litość ogromna nad tym nieszczęśliwym, który wyprężał się kurczowo, krępowany silnemi pięściami dozórców, a przez cały lat szereg nieustannie zrywał się do jakichś drogich a bolesnych wspomnień z dalekiéj przeszłości. Snać cios musiał być gwałtowny, gdy zatrzymał myśl jego na miejscu.

Przystąpiła do dyrektora.

— Panie, — rzekła — przez litość! niech go puszczą! Ja się z nim rozmówię.

— Ależ to niepodobna! — odparł dyrektor — ten człowiek w szał wpada.

Ola prosiła ciągle, a obłąkany na brzmienie tego głosu uspokajać się poczynał. Oczy szeroko otwierał, cały zasłuchany.

— Mów jeszcze! — szeptał — mów! Ja tak dawno nie słyszałem twego głosu, mów!

I stał tak pochylony naprzód ku Oli, wpatrzony w nią, zapominając się bronić dozorcom, którzy mu ściągali w tył ręce.

— Mów! — powtarzał — mów! ukochana moja. Żebyś ty wiedziała, com ja wycierpiał bez ciebie! Alem był przekonany, że wrócisz, boś mi to przysięgła, pamiętasz? w ów wieczór pogodny, księżycowy, na futorze koziatyńskim, u ojca swego Michała Soroki, ukochana ty moja!

Ola nie słuchała więcéj. Krzyknęła, rzuciła się do nóg jego i ramionami je objęła.

— Ojcze mój! — zawołała, podnosząc ku niemu łez pełne oczy — ojcze mój, jam jest córka Maryny, córka twoja, wnuczka Michała Soroki.

On stał i patrzył sztywnie, nie rozumiejąc. Na nogach się chwiał.

Dyrektor i dozorcy zdumieni, nie pojmując słów w obcéj wypowiedzianych mowie, ale z wyrazu twarzy i ruchów domyślając się niezwykłéj sytuacyi, puścili mu ręce, a on chwytał się teraz za głowę, jakby usiłował w niéj skupić rozpierzchające się myśli.

Hrabia de Larjeac w osłupieniu słowa nie mógł przemówić. Podbiegł do Oli, chcąc ją podnieść z ziemi.

Ale ona odsunęła go stanowczo. Gwałtownym ruchem zerwała z szyi medalion, otworzyła go i nie wstając z klęczek, wyjęła z niego stary, zniszczony zwitek papieru.

Podała go obłąkanemu.

On rozwinął i patrzał. Patrzał sztywnie i długo od czasu do czasu pocierając ręką czoło.

— Tak! tak! — mruczał do siebie — to świadectwo ślubu mego. Mieczysław Borski i Maryna Soroka, tak, tak; to już tyle lat!

Pojęcie czasu wracało mu zwolna.

Spojrzał na klęczącą Olę, wpatrywał się w nią, pochylił się, podniósł i porwał w objęcia.

— Córko moja! — krzyknął.

Z zapadłych oczu strumienie łez wytrysły i płynęły po zwiędłych policzkach.

— Ocalony! — rzekł z cicha dyrektor do hrabiego Jakóba, który w zdumieniu stał milczący. — Ocalony! on od lat wielu, od czasu katastrofy, nigdy nie płakał.

W téj chwili dano znać dyrektorowi, że pani Borska w bardzo pilnéj sprawie widzieć się z nim pragnie.

Tomasz wezwawszy siostrę Anielę do łoża konającego pana, podążył do pani Borskiéj zawiadomić ją o zbliżającym się końcu, o czem już wątpliwości mieć nie mógł.

Przywiązanie starego sługi ożyło teraz w całéj pełni. Pragnął choć w ostatnich chwilach przynieść ulgę ukochanemu panu, pocieszyć go, uspokoić. Podzielał on zawsze wszystkie jego nienawiści i gniewy, teraz jednak nie wahał się ani chwili stanąć spokorniały przed tą, którą zarówno ze swym panem nielitościwie prześladował, któréj przypisywał wszystko złe, jakie ich w życiu spotkało.

W nocach bezsennych, jakie w ostatnich czasach przy łożu chorego spędził, słyszał on z ust Borskiego tyle wyrazów żalu, widział w nim tak gorącą chęć wynagrodzenia krzywd wyrządzonych, że i w jego sercu ozwała się skrucha.

Ze łzami w oczach przedstawił pani Borskiéj udręczenie téj duszy, która odchodziła w wieczność, targana niepokojem, spragniona przebaczenia.

— Niech mu pani — rzekł, łkając — przebaczy. Niech mu pani powie takie słowo, któreby go uspokoić mogło, dać mu ulgę w cierpieniach, aby nie umierał w okropnem osamotnieniu i żalu. Niech pani ma litość!

Słuchając, pani Borska prostowała małą swą, skuloną, zgrzybiałą postać. Na wybladłą jéj, wymizerniałą twarz, pokrytą zmarszczkami jak siecią, wybiegły gorączkowo rumieńce; w oczach przygasłych, ciągłą mgłą zasnutych. zabłysły łzy.

A miałże on kiedykolwiek nad nią litość? Szereg lat długich opuszczenia, nędzy moralnéj, pogardy ludzkiéj, nieszczęść, klęsk i udręczeń, oto jéj życie z tym człowiekiem. Co tylko serce kobiety znieść może bólu, to ona przebyła: ranił ją i gnębił we wszystkich uczuciach, postępowaniem swojem okrył sromotą i żałobą.

A jednak w chwili, gdy Tomasz, ten najwierniejszy jego wspólnik, wymówił to słowo: on kona, w duszy nieszczęśliwéj kobiety coś jakby się złamało. Uczuła ból, a potem rozrzewnienie wielkie.

— Jedźmy, jedźmy natychmiast! — rzekła do Tomasza.

Ale przedtem jeszcze musiała choć na chwilę zobaczyć syna, pożegnać go, w przewidywaniu, że w razie śmierci męża, nie tak rychło będzie mogła powrócić.

Udała się przeto do dyrektora zakładu, który wyszedłszy do niéj, zwiastował jéj niespodziewaną nowinę.

— Nie śmiem obiecywać — mówił — ale niezwykły ten wypadek, chyba tylko jeden, może uzdrowienie przynieść.

Za chwilę, w pokoju Mieczysława Borskiego zgromadzeni byli wszyscy, a ze wszystkich w tym momencie najspokojniejszym, najbardziéj panującym nad sobą był ten, którego przed godziną obłąkanym zwano.

Mgła, zaciemniająca przez lat tyle myśl jego

roztąpiła się nagle. I myśl ta, wyzwolona z cieniów, jakie ją krępowały. przebiegła w jednéj chwili i objęła przostrzeń czasu, dzielącą teraźniejszość od dawno minionéj przeszłości. Zamiast Maryny, ukochanéj żony, którą mu okrutnie wydarto, do któréj tyle lat tęsknił, a o któréj śmierci dowiedział się teraz dopiero z ust Oli, zamiast téj żony widział córkę swą, podobną do tamtej a stokroć jeszcze piękniejszą. Tęsknota pierzchała z duszy. Nie wyglądał już nikogo i do nikogo nie tęsknił, bo patrząc na Olę odczuwał w całéj pełni szczęście obecnéj chwili. Spokój wielki, uroczysty, a pogodny zalewał mu duszę.

Gdy weszła matka, on żywo podszedł ku niéj i ujmując za rękę, wskazał na Olę,

— Patrz, matko — rzekł spokojnie, z prostotą — patrz, to córka moja...

Są chwile tak niespodziewanego i wielkiego szczęścia w życiu, że w nich mieściłaby się niewątpliwie nagroda długich lat udręczeń i niedoli, gdyby serce ludzkie mogło ten cały ogrom pomieścić i odczuć w pełni, gdyby je słowo wyrazić zdołało. Wówczas jednak serce, porażone tym nadmiarem, struchlałe, traci świadomość podobnie jak w wielkiem nieszczęściu a myśl spłoszona rozpierzchła, napróżno szuka w mowie odpowiedniego wyrazu. Objawem wielkich radości podobnie jak wielkich boleści, jest przeto milczenie lub łzy.

Pani Borska mówić nie mogła, a łzy wszystkie wypłakała już przedtem, w ciągu długiego życia gdy przez lat tyle patrzeć musiała na przygasły w obłędzie, w szaréj, beznadziejnéj tęsknocie pogrążony umysł ukochanego swego syna, gdy żegnała z kolei wszystkie nadzieje i kropla po kropli wypijała gorycz zawodów.

Więc bez słowa i bez łez ujęła w ramiona klęczącą u jéj stóp Olę podniosła i długo trzymała w uścisku.

Nagle przypomniała sobie. Ciężki i smutny obowiązek miała dziś jeszcze do spełnienia. Życie nie pozwala zapominać się w uniesieniach radości.

— Mieczysławie — rzekła, zbliżając się do syna — jechać muszę natychmiast. Ojciec twój mnie wzywa, chory jest, umierający.

Mieczysław drgnął, jakby iskrą elektryczną tknięty.

Wyprężył się; po jego twarzy przebiegł błysk.

Ale to trwało jedno mgnienie oka. Przed godziną jeszcze na wspomnienie o ojcu byłby wpadł w szaleństwo; teraz myśli tylko zbierał, jeszcze niepewne.

— Umiera — powtórzył, cisnąc matkę za rękę — umiera... ja tam przy nim powinienem być, muszę!

Nie spodziewał się tego nikt i myśl ta z początku przeraziła wszystkich.

Dyrektor chwilę się wahał.

— Nie mogę wszakże — mówił zcicha do hr. Jakóba — sprzeciwiać się. Wszelki opór w téj chwili mógłby popsuć wszystko. Ale również niepodobna puszczać go bez opieki. Ja z nim pojadę.

Niezwykły wypadek wywołał nadzwyczajne objawy współczucia. Z wdzięcznością przyjęto propozycyą dyrektora i natychmiast postanowiono wyjechać. Naprzód wysłano Tomasza, aby chorego przygotował.

Gdy Tomasz po gwałtownem rozstaniu się ze Sipajłłą wszedł do pokoju, Borski zdawał się usypiać spokojnie. Budzić go było niepodobna. Na palcach wysunął się Tomasz do swego mieszkania, aby nieco odpocząć po doznanych wzruszeniach.

Przy Borskim została tylko siostra Aniela.

Wkrótce chory otworzył powieki i spojrzał do koła siebie.

— Nikogo — szepnął — nikogo, pusto!

Siostra Aniela zoliżyła się, uklękła przy łóżku, i podnosząc krzyż przed oczy konającego:

— Jest Bóg! — rzekła zcicha.

Borski wytężonym wzrokiem wpatrzył się w krucyfiks.

Pierś jego podnosiła się teraz gwałtownie, targana czkawką śmiertelną.

Ostatnia godzina wybiła.

— Syn, syn — szeptał konający. Niegodny jestem przebaczenia, niegodny. Niema go, niema! nikogo niema, pusto!

A siostra Aniela mówiła zcicha, rzewnie:

— Jeśli masz grzech na sumieniu, żałuj! Jeżeliś krzywdę wyrządził, chciéj wynagrodzić; jeżeli tobie wyrządzono krzywdę, przebacz! Jeżeli masz tęsknotę w sercu i jakie jeszcze pragnienia w życiu niespełnione, ofiaruj je na okup. Miéj nadzieję w miłosierdzie.

Borski zdawał się słuchać. Ustami poruszał i patrzył ciągle na krzyż.

Na znużone powieki jego spływał zwolna, cicho sen wieczysty.

Skonał. A w tejże chwili zbliżało się ku niemu przebaczenie. Do pokoju weszli razem żona, syn i wnuczka.

Gdy wkrótce potem na progu stanął Sipajłło, jednym rzutem oka objął i zrozumiał wszystko.

Ostatnia rachuba go zawiodła. Został teraz sam, na obcéj ziemi, bez środków do życia, potępiony przez wszystkich, bez przyszłości.

XIII.

We dwa miesiące późniéj, nad ranem, gdy jeszcze brzask dzienny nie zdołał się przedrzeć przez ciężkie chmury, przesuwające się leniwie po niebie, szedł Jerzy Sipajłło środkie ulicy Papin.

Zatrzymał się przed dawném mieszkaniem Oli. Prowadził go tam bezwiedny instynkt, czyli raczéj pragnienie schwytania wspomnień niedalekiéj, a tak niepowrotnéj przeszłości, bo przecież wiedział dobrze, że Ola od dawna już w tym domu nie mieszka. Wyrzekła się artystycznéj karyery i oddana cała ojcu i babce, pozostała przy nich. Scena straciła może swoją przyszłą chlubę, artystka pozbawiła się przyszłych upajających, rozkosznych tryumfów, lecz kobieta zyskała najwyższe dobro na świecie — spokój.

Jerzy stał chwilę, patrząc w okna. Były zupełnie ciemne. Kogoż wyglądał, wiedząc, że Oli tam nie ma?

Sam z siebie się zaśmiał. Echo tego śmiechu rozeszło się głośno wśród pustéj ulicy i brzmieniem swém szyderczém, ostrém, chrypliwém, przeraziło go samego.

Pił téj nocy za dużo. Głowę napełniał mu szum nieznośny, jakkolwiek przez te dwa miesiące przyzwyczaił się do trunków — i to jakich jeszcze! Wracał właśnie z kawiarni, w któréj teraz bywał codziennie. Schodzili się tam nowi jego przyjaciele, których nazwisk nie znał; wiedział tylko, że piją dużo i grają chętnie. Grał co nocy do białego dnia, to zabijało pamięć i wszystkie myśli skupiało w jednéj żądzy wygrania. Rzadko jednak wygrywał. Wszystko, co posiadał, co od Borskiego wyniósł, aż do zegarka, wszystko już poszło.

Został w jedném odzieniu podartém, zszarzaném.

Dziś przegrał resztę; nawet cieplejszy swój paltot musiał zostawić szczęśliwym zwycięzcom. Drżał z zimna.

Była to noc zimowa, bardzo chłodna, bezśnieżna, ale wilgotna. Z chmur, nad ranem, zaczął sączyć się deszczyk drobny, przenikliwy. Nie padał, zdawało się, a przenikał na wskroś. Z rynien dachów ściekała woda z brzęczącym odgłosem.

Jerzy stał drżący, chwiejąc się na nogach Wpatrywał się w ciemne okna i wsłuchiwał w ciszę, wśród któréj najwyraźniéj odzywało się monotonne dźwięczenie kropel wody, obijających się o blachę.

I nagle przypomniał sobie ów wieczór posępny, zimowy, w Humaniu. Ow wieczór, w którym rozstrzygnęły się jego losy, gdy przyjechał Tomasz, aby zawezwać go do Borskiego.

Jakaż to szalona przestrzeń oddzielała go od tych czasów.

Zaśmiał się znowu.

— Marne życie! — mruknął. I poszedł daléj.

Szedł coraz wolniej, znużony. Do koła zaczynało już budzić się życie. Coraz częściej spotykał przechodniów. Zataczając się, potrącał ich, a oni spoglądali na niego bez gniewu, ale lekceważąco, z pogardą.

Szarzało. Jerzy spojrzał na siebie i wzdrygnął się. Był zmoknięty, obłocony; surdut miał podarty, buty dziurawe. Wyglądał, jak nędzarz. Skulił się, zgarnął poły surduta w skostniałe ręce i począł biedz.

Przechodził w téj chwili obok niewielkiego kościoła St. Nicolas des-Champs, którego piękny portal gotycki rysował się już wyraźnie w brzasku na chmurnem tle nieba.

— Jerzy! — zawołał nagle głos jakiś po za nim.

Sipajłło obrócił się i ujrzał naprzeciw siebie Zygmunta.

— Gdzie idziesz? — pytał Czarnoszyński, chwytając go za rękę — szukałem cię wszędzie. Wiem wszystko, wiem, żeś podobnie jak i ja nieszczęśliwy. Chodź zemną!

Sipajłło mętnym wzrokiem patrzył na niego. W oszołomionéj trunkiem głowie plątały się bezładne myśli.

— I ja wiem wszystko! — zabełkotał — śliczny z ciebie gagatek, zabiłeś księcia, jak jak Mariettę.

Zygmunt drgnął, ale ręki Jerzego nie puścił.

— Chodź zemną! — powtarzał — chodź tam!

Ręką wskazywał na kościół.

Sipajłło gwałtownie się szarpnął i zaśmiał się.

— Cha! cha! — odprawiasz znowu nabożeństwa z siostrą Anielą i księdzem Stanisławem. Winszuję!

Wyrwał swą rękę z uścisku Zygmunta i pobiegł dalej, nie patrząc za siebie.

Był już prawie dzień biały, gdy doszedł do swego mieszkania, na strychu, w małéj, nędznéj izdebce.

Zasłonił okno i zapalił świecę. Nie chciał patrzeć na brzask dzienny, który go drażnił.

— Po co ten dzień? po co życie? — myślał — gdy to wszystko takie marne!

— Usiadł przy stoliku i podparł głowę na ręku.

To spotkanie z Zygmuntem jeszcze go bardziej rozstroiło. Na twarzy jego, zmienionéj wprawdzie, postarzałéj, w oczach smutnych, w głąb zapadłych, dostrzegł jednak wyraz uspokojenia.

— Ten idyota — szepnął z zawiścią — zawsze szczęśliwszy odemnie!

Oparł się na poręczy krzesła, wyciągnął nogi i usiłował myśleć logicznie.

— Co począć? Na dziś już niema żyć z czego, a jutro? Nawet zapomnienia w grze znaleźć nie będzie mógł, bo u tych nowych znajomych swoich kredytu nie miał, gotówką lub w efektach kazali sobie płacić i to natychmiast!

Strach, jak on się rychło i jak gwałtownie stoczył na samo dno przepaści! W duszy jego gangrena szerzyła się tak szybko, jak owa na ciele Marietty, jego ręką zaszczepiona.

— Może już umarła?...

Dreszcz jakiś na tę myśl przeszedł od stóp do głowy. Na domiar grożono mu jeszcze procesem kryminalnym, matka Marietty i dr. Vincent chcieli wystąpić ze skargą!

Mniejsza o to! Cóżby mu jeszcze życie, świat, ludzie uczynić mogli? Przebył już wszystko, lotem ptaka przeleciał całą olbrzymią sferę nadziei, pożądań, zawodów, upadku! Modlić się, jak Zygmunt nie potrafi. Wiary nigdy nie miał, szydził z niéj zawsze; ambicya go tylko trzymała na powierzchni, a ta, raz złamana, nie zostawiła nic w duszy, prócz zawiści do tych, którzy pomimo wszystkiego, jak Zygmunt, szczęśliwszymi mu się zdawali. Po za nim same rozczarowania, a przed nim... nic! głucha rozpacz, beznadziejna pustka!

Tak myślał. I machinalnie, ołówkiem na skrawku papieru, który leżał na stole, kreślił datę dnia: 31 grudnia.

Spojrzał i zaśmiał się, jakby rzecz niespodziewaną zobaczył.

— Dzisiejszy dzień — szepnął — ostatni dzień roku i...

Wstał szybko. Z kieszeni wyjął mały rewolwer, który zwykle przy sobie nosił w swych wędrówkach nocnych i w czasie gry z „przyjaciółmi", których nazwisk nie znał. Rzucił go na stół.

Przeszedł się po pokoju krokiem nerwowym. Stanął przy oknie, zdarł z niego firankę i spojrzał.

Dzień był biały. Zdala dochodziła wrzawa ludzkich głosów, życie już wrzało.

— A! — zawołał Jerzy — ja nie chcę żyć! nie chcę!

Chwycił stojącą na oknie butelkę, w któréj na spodzie było jeszcze parę kieliszków wódki.

Wypił do kropli.

— A matka?... — zaszeptał mu jakiś głos w duszy.

Prawda, matka! U niej jednéj znalazłby jeszcze pokrzepienie, pociechę; ona jedna przygarnęłaby go, ukoiła pieszczotą, ona jedna nie potępiłaby — nigdy!

A on o niej zapomniał! W ostatnich tygodniach nawet listów, które od niéj nadchodziły, nie rozpieczętowywał. Całe ich stosy leżały nie czytane. Nudziły go ustawiczne żale, skargi, utyskiwania opuszczonéj, staréj kobiety.

Przystąpił do stołu i gorączkowym ruchem przerzucił te listy.

Na samym wierzchu leżał najświeższy, nieznanem mu pismem zaadresowany. To go uderzyło.

Rozerwał kopertę i czytał.

Napróżno wzywała ukochanego syna — pisał sąsiad — od kilku tygodni była chora. W niepokoju i tęsknocie umarła!

Więc teraz na prawdę nic, nawet jéj nie ma — umarła!

Jeden ruch, by rewolwer wziąć i do skroni przyłożyć — jedna jeszcze sekunda, jeden strzał, i trup Jurka Sipajłły zwalił się na ziemię....

Równocześnie w kościele St. Nicolas-des-Champs, bezkrwawą najwyższą ofiarę spełniał ksiądz Stanisław Grużewski, modląc się za zaślepionych i zrozpaczonych, za żywych i konających.

Niedaleko ołtarza, oparty o filar, stał pogrążony w zadumie Zygmunt Czarnoszyński.

Spotkanie z Jurkiem poruszyło do głębi. Ujrzawszy go, zrozumiał od razu, z jego twarzy wyczytał całą rozpacz, która nim miotała. I przypomniała mu się żywo niedawna chwila, gdy on, po nagłéj śmierci księcia de Sarthes, wybiegł ze wspaniałych salonów hrabiny de Saluces, z podobną rozpoczą w duszy.

Całą noc tułał się wówczas po ulicach bezprzytomny, a wreszcie znużony, zziębnięty, zaszedł do otwartéj jeszcze nocnéj szynkowni.

Usiadł, kazał podać sobie wina i pił.

Obłąkanym wzrokiem patrzył na rozmaite postacie, które wychodziły i wchodziły do szynkowni. Postacie nędzne, obdarte, o twarzach mizernych, strasznych, które z podełba podejrzliwie spoglądały na niego i jego strój balowy. Niejeden go zaczepiał, odzywał się do niego ochrypłym głosem, szukając zwady, ale on nie odpowiadał nic, obezwładniony.

W tém, przez drzwi na moment uchylone, doszedł go z ulicy tęskny, rzewny odgłos dzwonu.

Drgnął, powstał, rzucił zapłatę na stół i wybiegł.

Był świt. Ulicami śpiesznie szły jakieś postacie, czarne, skulone, najczęściéj niewieście, dążąc do pobliskiego kościoła, zkąd rozchodziło się donośnie, wśród ciszy rannéj echo dzwonu, wzywającego pobożnych na pierwszą mszę świętą.

Bezwiednie Zygmunt poszedł w tę stronę. I zdało mu się, że wraca do niego niezapomniana, lecz zatarta już nieco w duszy przeszłość, że wróciły lata młodzieńcze, że obok księdza Stanisława idzie służyć mu do mszy.

Tylko dawnéj wiary w sercu nie było.

Kościół był otwarty. Zygmunt wszedł i stał obojętny, zimny. Modlitwa nie wybiegła jeszcze na usta.

Nagle posłyszał głos.

— *Orate fratres!* — rzekł ksiądz — zwracając się do ludu i wyciągając ku niemu ramiona.

Zygmunt głos poznał od razu, głos księdza Stanisława. I machinalnie, siłą dawnych wspomnień, ustami, nie sercem, szeptał odpowiedź:

— *Suscipiat Dominus hoc sacrificium.*

Ale znaczenia téj ofiary nie rozumiał, nie odczuwał. Wszystko to zdawało mu się sztywne, zimne, formą bez treści.

W godzinę późniéj Zygmunt w mieszkaniu księdza z jakimś martwym spokojem, otwierał przed nim całą swą duszę w rozmowie poufnéj. Nie taił ani błędów swoich, ani swéj oziębłości, ani swoich wątpień.

Ksiądz słuchał poważny, zamyślony i odrzekł krótko, łagodnie:

— Nawracać cię, Zygmuncie, nie będę. W tradycyi swéj, w wychowaniu domowém, w swéj własnéj wiedzy masz dostateczne podstawy, aby się zatrzymać na téj pochyłości, na którą zawiodło cię życie. Wiara jest łaską i na nią zasłużyć trzeba.

— Jakim sposobem? — spytał Zygmunt.

— Pracą i ofiarą — odrzekł ksiądz. — Masz obowiązki dla rodziców, którzy starzy są i w niedostatku. Szukaj więc pracy takiéj, któraby nie ambicyi twojéj, lecz tym obowiązkom zadość czyniła. W takiéj pracy znajdziesz oczyszczenie ducha, w takiéj pracy jest już ofiara, która ci sprowadzi z czasem łaskę wiary. Tylko w ten sposób ją zdobyć możesz, a nie rozumowaniem i dyskusyą. Ty mówisz, żeś nieszczęśliwy, i w téj niedoli swéj zasklepiasz się, ubolewając nad sobą, a ja ci pokażę nędze stokroć większe, które się wszakże dźwigają.

I prowadził go do najuboższych i najnędzniejszych.

Podczas gdy panna Aniela, jako Siostra Miłosierdzia, przynosiła ulgę chorym i konającym, ksiądz Stanisław, przybywszy przed rokiem do Paryża, niósł pociechę i pokrzepienie moralne żywym a nędznym.

W dzielnicy robotniczéj na całem przedmieściu św. Antoniego, znano już dobrze księdza Stanisława. Wchodził on tam, gdzie była największa niedola, gdzie z nędzą łączyły się występek i zbrodnia, gdzie nie uznawano żadnych zasad, żadnego nie znoszono hamulca, gdzie był ciągły, często bezwiedny grzech. Ksiądz Stanisław kojarzył i godził, wracał dzieciom rodziców, uczył obowiązków wzajemnych. W ogniska domowe wnosił pokój, sercom przywracał czystość uczuć, umysłom równowagę, zrozpaczonych jednał z życiem.

A Zygmunt, patrząc na to działanie, zaczynał odżywać. Mgła zwątpienia zwolna ustępowała z duszy.

Szukał teraz pracy. A w tem poszukiwaniu znalazł niespodziewaną pomoc w przybyłym na czas jakiś do Paryża, kuzynie swym, Szarzyckim, owym rozpieszczonym niegdyś Henrysiu, którego akcent paryzki tak rozdrażnił był marszałka.

Henryk, przybywszy do Paryża, odszukał Zygmunta i zbliżył się do niego, a był zrazu niewytłomaczonem dla Czarnoszyńskiego zjawiskiem. Wychowany w warunkach, które się najgorszemi zdawały, wyrósł na człowieka nietylko ukształconego, lecz pragnącego pracy i umiejącego pracować.

Przyjechał do Paryża w celu przedsięwzięcia studyów historycznych w archiwach tamtejszych, a był już docentem krakowskiéj wszechnicy.

— Jak się to stało? — pytał Zygmunt.

Henryk spojrzał na niego rozpromienionym wzrokiem.

— Widzisz, mój drogi — odparł — żyjemy tam teraz w warunkach normalnych, a przekonaliśmy się wszyscy, że drogą wytrwałości i pracy można u nas zrobić dużo. Do działania mamy obszerne pole.

— Tak — dodał ksiądz Stanisław — i nie zaniedbujcie tego pola, w takiéj pracy przyszłość! My zaś, pozbawieni normalnych warunków bytu i rozwoju, rozmaitemi kolejami losu przeniesieni na grunt obcy, pamiętać winniśmy o tem, że tu dla ambicyi naszych miejsca nie ma. Ofiarę przyjmie i uzna społeczeństwo każde — wygórowaną ambicyę przebaczyć może tylko — własne.

Henryk Szarzycki, mający liczne stosunki i listy polecające do osobistości wpływowych, ułatwił Zygmuntowi uzyskanie posady w jednéj z bibliotek. Posada była skromna, ale zapewniającą utrzymanie i dająca sposobność do pracy umysłowéj.

Zygmunt marzył teraz o sprowadzeniu rodziców do siebie, bo w Julinie coraz większy był niedostatek, z którym oni walczyć nie umieli.

Z panią Stefanią przez długi czas nie widywał się wcale. Ireny widzieć nie chciał. Mowiono, że wychodzi powtórnie za mąż za dawnego adoratora swego, wicehrabiego de Lormes.

O Oli wiedział Zygmunt, że jest uspokojona, niemal szczęśliwa, przy ojcu i babce, których pielęgnowaniu oddała się zupełnie. I cieszył się jéj szczęściem. Długi czas nie widywali się wcale, a spotkawszy się raz, przypadkiem, podali sobie ręce i nie wspominając o przeszłości, powitali się spokojnie, jak witają się ludzie, którzy troski swe, pożądania i walki przeżyli i wyszli z nich, nie pragnąc nic już dla siebie, ze świadomością, że spokój ducha i cicha praca, to najwyższe i jedyne dobro na ziemi.

Czas leciał niepowstrzymany.

W roku 1889 republikańska Francya dawała wielkie widowiska światu. U stóp wieży Eiffel cisnęły się narody podziwiać potęgę bogactwa i techniczną doskonałość postępu.

Po schodach wieży, w licznem i świetnem towarzystwie szła zwolna Irena. Postępowała z trudem, otyła bardzo, śmiejąca się zawsze, wesoła.

Obok niéj, krokiem dość niepewnym, z wyrazem znudzenia na wybladłéj twarzy i w przygasłych oczach, szedł mąż jéj, wicehrabia de Lormes.

— Miły wynalazek ta wieża — szeptał i krzywił się.

Na górnéj platformie u saméj balustrady, stała Ola, zapatrzona w dal mroczną, niewyraźną.

Był wieczór pogodny. Patrząc z góry, całe olbrzymie miasto, rozścielone u stóp wieży, a otulone w mgle białéj, wyglądało, jak równa, nieskończona przestrzeń. Czasem z mgły téj wydostawał się szczyt wieżyczki, lub kopuły i w zniżających się ku zachodowi promieniach słońca migotał jaskrawo.

Obok Oli stał Zygmunt.

— Co się stanie — mówił — z temi zdobyczami kończącego się stulecia? Techniczne zdobycze wielkie, ale w umysłach coraz większy mrok, coraz gęstsza mgła, coraz mniéj siły ducha, coraz słabsza wola, coraz większe rozprężenie nerwów. Co będzie z tem pokoleniem, które po nas przyjdzie, co my zostawimy mu w spuściźnie duchowéj? Nic! My „Najmłodsi" z działających w tem stuleciu, my, którzy czynami naszego ducha mamy wycisnąć ostatnie na niem piętno, cóż zostawimy po sobie? Ohyba wspomnienie naszéj newrozy?

— Zostawimy wielką naukę — odrzekła Ola. — Z tych walk i wątpień, jakie przebyliśmy, zostanie jedno: sprawdziliśmy na sobie, że teorye, które nas obłąkały, są kłamstwem. My wszyscy — najmłodsi, jak ich nazywasz, pomimowoli ulegaliśmy mniéj lub więcéj tym teoryom i zasadom, wokoło nas wygłaszanym. Ulegaliśmy i sprawdziliśmy ich nicość. I oto dziś, pozytywizm, realizm bezwzględny, naturalizm, te wszystkie hasła rozbrzmiewające do niedawna tak głośno, które nas przenikały, słabną. Przyszłe pokolenie już ich nie uzna.

— Ale — przerwał Zygmunt — winno uznać i przyjąć to, co było rzeczywiście dobrego w tych hasłach, a mianowicie, odrzucając krańcowość, przyjąć szczerość w uczuciach, trzeźwość pewną w poglądach, praktyczność w życiu, źródłową gruntowność w nauce i krytyce, prawdę w sztuce.

— Byleby — wtrąciła Ola — wierzyło tak, jak my dziś po doświadczeniach wierzymy, byleby przy całéj praktyczności nie zapominało o téj prawdzie, że idealnych uczuć pozbywać się człowiekowi nie wolno, pod grozą utraty największéj dźwigni w życiu. Wszak ciebie, Zygmuncie, wiesz dobrze, z niebezpiecznego wiru, w którym zginąć mogłeś, ocaliło nie co innego, tylko tradycya dawna, idealna wiara młodzieńcza. Mnie także ocaliła ta wiara i...

Zawahała się chwilę.

A potem dodała nagle:

— Dziś już chyba bez rumieńca przy siwiejących włosach powiedzieć mogę: Ocaliło mnie idealne uczucie dla ciebie.

Podali sobie ręce i stali tak chwilę, zapatrzeni w dal mroczną, zawieszeni w przestrzeni mglistéj na chwiejnej podstawie wieży.

I równocześnie z ust ich, wraz z westchnieniem, wyszły słowa:

— Biedny Jurek! Nie miał téj dźwigni i padł ofiarą!

— A! — ozwała się Ola po chwili namysłu, jakby w swéj duszy usprawiedliwienia dla Jurka szukała — ten, który zechce nas sądzić... nas, oderwanych od gniazda, szukających warunków bytu wśród obcych, ten musi jeszcze inną wynaleść miarę sądu dla takich „Najmłodszych". Ten winien zbadać od początku, od ich dzieciństwa, wszystkie koleje, wmyśleć się w ich myśli, zrozumieć ich uczucia, przejąć się ich bólem, ocenić to wszystko, zrównoważyć i chyba... przebaczyć!...

— Ileż to — dodał Zygmunt — wpływów, zupełnie odrębnych, obcych całkowicie innym, szczęśliwszym, działało i oddziaływa na nas, na wytworzenie naszych usposobień i charakterów. My często w najbliższéj rodzinie, sami siebie rozumieć już nie umiemy.

Zamilkli znowu, smutni.

Zmierzchł spływał na ziemię. Wierzchołek wieży błyszczał jeszcze w słońcu, a u spodu, na całéj przestrzeni, mgła szara, coraz gęstsza, zarównywała wszystko. Błąkały się tylko na téj powierzchni równéj odblaski barwne, spadające z góry; mieniły się chwilę tęczowo, i nikły.

— Zygmuncie! — rzekła z cicha, głosem, w którym łzy drżały — popatrz, to step!...

On spojrzał i zatonął wzrokiem w nieskończonem przestworzu.

— Czy my tam kiedy wrócimy? — szepnął.

— Miejmy nadzieję! — odrzekła Ola.

KONIEC.

Za redakcyą odpowiedzialny Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem i czcionkami Drukarni Kuryera Poznańskiego.